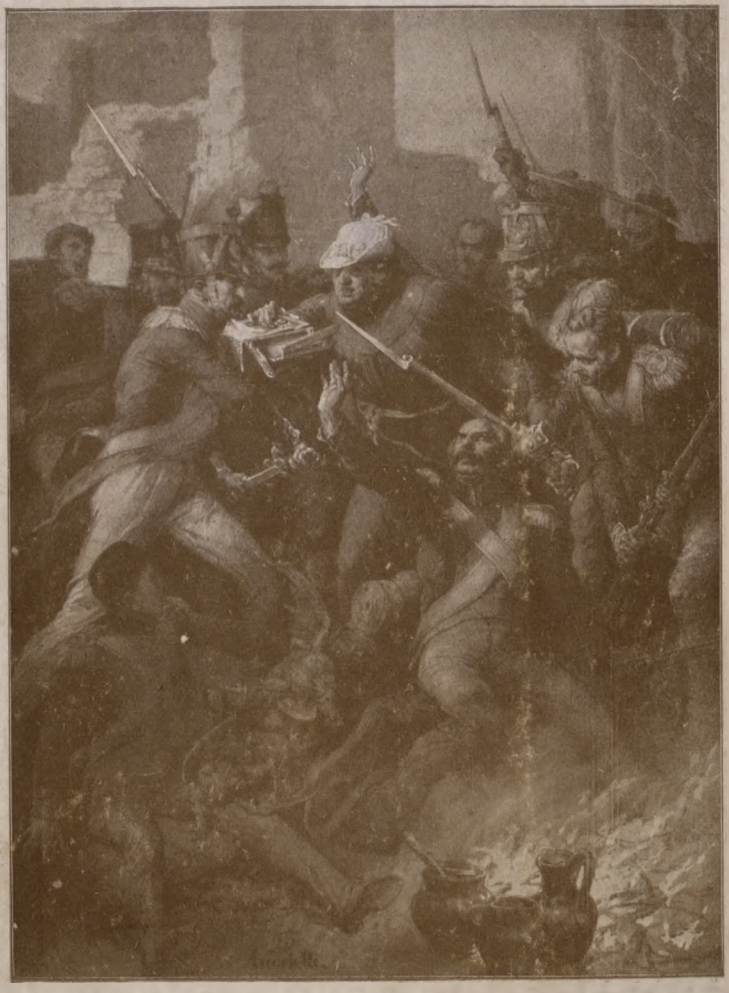

IGNACY CHODŹKO

PAMIĘTNIKI KWESTARZA

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF

PAMIĘTNIKI KWESTARZA

54682

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Księgarni T. SZCZĘSNY
Toruń, Szeroka 26/28

Nr. 1314

IGNACY CHODŹKO

PAMIĘTNIKI KWESTARZA

Z OŚMIU RYCINAMI
E. M. ANDRIOLLEGO

WYDANIE SKRÓCONE DRUGIE
W OPRACOWANIU J. GRABOWSKIEGO

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Księgarnia T. Szczęsny
Toruń, Szeroka 38/39

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Leszno 112.
1929

I.

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie połockie.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencji dworu naszego i przyjaciół. Za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej partji i zajęła całą ulicę.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicja, to jest dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet leżały na łamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w takież szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowie, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski, porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą.

Pan Piekarski traktował zamłodu żołnierkę w pruskiem wojsku, zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopi nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt,* więc musiał potem po polsku ich musztrować. I pięknie to prostactwo wymoderował. Nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: nabijaj! to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił, i zcicha pytał: czy już? Jak odpowiedzieli także zcicha: już! wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie nie wiem, co znaczy *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka, ale po niej kurki traf, traf, nakoniec cel! pal! i zawsze jakbyś orzech zgryzł.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanją swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partja Sielickich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda na walny sejmik przyprowadził żołnierzy. Odpowiadaliśmy, że to dla powagi i asystencji jego senatorskiej godności. Bo i prawdę mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym śrutem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem pożywienia dla tego tłumu, musząc nadto myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku szlachty, wydołałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego. Przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta. Rzecz więc była wątpliwa, zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy się tego domagali.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził sto szabel. Wszedł on do miasteczka takowym szykiem:

Na przedzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i nie widać teraz. Personat! Niema co powiedzieć. A wąs! Mój dobrodzieju! Wąs! Mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu.

Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opiekłych dziewek, w czerwonych, aksamitnych, gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych grodeturowych spódnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza. Za niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu, dziwiącego się takiej para-

dzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody i rejestr swej partji złożył mu w ręcę.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów, takich, jak sam. Faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego, jak on, gracza do korda.

II.

Pan wojewoda rano po śniadaniu rzekł do zebranej drużyny:

— Ojcowie święci! Kto łaskaw ze mną do obejścia prześwietnych urzedników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

Ruszyliśmy wszyscy i, zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewodziego Korsaka, szliśmy w kilkunastu za panem wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o naszej wizycie, spotkał nas w bramie dworku, w którym kwaterował.

Pan podkomorzy kazał podać węgrzyna i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody.

W naszej kompanji przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz szeroki, prosty i ciężki, jak sztaba żelaza.

Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany (bo będąc chudym pachołkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić), ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy werdragonowy, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany. Po nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna zielonego, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego, panu szambelanicowi, młodemu szaławile, podpi-

temu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława i, domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki: — Strzelczyk! — powiadał — dalibóg strzelczyk!

Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tem ośmielony panicz coraz to głośniej strzelczykiem go nazywał, z różnych stron oglądając jego figurę. Nie wytrzymał nakoniec pan Stanisław:

— Panie bracie! Panie szambelanicu! — rzekł on. — Waspan mnie znasz dobrze! Ale że teraz nie poznałeś i nazywasz mnie, szlachcica, strzelczykiem, otóż, panie bracie, strzelczyk waszeci nastrelaje! — Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywał.

Szambelanic porwał się do szabli. Spostrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka. Pan wojewoda uspokajał pana Stanisława. Ale ten, ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda. Już bowiem przerwała się harmonja, której gdy narazie nie sklejono, można było łatwo zgadnąć, na czem się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy na obiad do domu.

III.

Pan wojewoda pytał o pana Stanisława, ale go we własnej jego kwaterze nie znaleziono. Widać, że się gdzieś zaszył, aby nie być molestowanym przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanicem. Aż pod wieczór wszedł do mojej stancji.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł — pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Poproś go, aby jutro rano, ze wschodem słońca,

Więc poły za pas zawinąwszy, wyrywali nasi bracia dziewki od waltorniów i dalej w obertasy! (str. 13).

obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili. Czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy przyjść, to wiesz, bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszem spotkaniem obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław. — Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to! Nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego Harasima! Ale pan szambelanic pan, a przynajmniej siada między pany. Trzeba go nauczyć *mores,* aby szlachcie po nosach nie jeździł. Jeżeli lękasz się narazić wojewodzie, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to nie pozwalam — rzekłem. — Funkcja moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi negować posługi honorowej przyjacielowi. Idę więc, a zaczekaj tu na rezolucję.

Jakoż i poszedłem do panów Sielickich, którzy całą rodziną mieszkali razem. Znalazłem młodzież podpitą i dziwne na nas wykrzykującą przechwałki.

Gdym wszedł, szambelanic porwał się z za stołu, na którym pełno było butelek i dzbanów, i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, poco tu? Na szpiegi? Na praktyki?

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem. A posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki. Głowacz to wielki, ale filigranowej roboty. Zna on mnie dobrze, bo bywał u wojewody. Powstał więc i, wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

— Mości panowie! To jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz! Mój to dawny znajomy i przyjaciel. Proszę go wysłuchać.

— Mów swoje poselstwo! — krzyknęli.

— Poselstwo moje — rzekłem — tyczy się jednego pana szambelanica. Możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie bez świadków.

— Niema żadnego sekretu pomiędzy nami. Mów, jak stoisz.

— A kiedy tak, to powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcję za krzywdę, którąś pan jemu dzisiaj wyrządził, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań postpozycją. Czekać on pana będzie jutro rano ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili. Przytem ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcji i nie stawił się na wyzwanie (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelanic — abyś dla mnie plac ostrzelał. Potrafię ja podczesać pana podczaszego!

— A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę, Junosza, szlachcic z traktu zapońskiego [1]), zawołany sejmikowy zawadjaka — oporządzim pana posła.

Porwał pan Podwiński za kark zapończyka.

— Idź spać, opoju! — rzekł, wypychając go do alkierza. — Panie szambelanicu, daj pokój tym burdom! Panie marszałku! Zrobiłeś swoje, więc nie masz tu poco dłużej czekać — rzekł do mnie.

Wyszedłem zatem. Dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz.

— Panie Michale — rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu. Bo czy djabli nadali przychodzić z taką propozycją, gdym ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się

---

[1]) Trakt zapoński, dziś w powiecie borysowskim, w gubernji mińskiej, nasiedlony był dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? — dlatego jedynie byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem, gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem, i rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mi z płaczem prawie.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł. — Pójdę teraz do dominikanów na nieszpory, i zaraz spać, bo przede dniem trzeba nam być na koniach. I ty, panie bracie, staraj się wywczasować, bo cię jutro wreszcie obudzę.

Ale nie było czasu myśleć o odpoczynku. Pan wojewoda przysłał po mnie i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.

IV.

Idąc gromadnie i hucznie przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka. Rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich. I pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła. Gdyśmy koło swoich przechodzili, wypadała z domów i krzyczała:

— Wiwat pan wojewoda połocki! wiwat!

Chwytała przytem na ręce wojewodę i podrzucała wgórę. Ale gdyśmy mijali domy nabite partją przeciwną, to i wetowano nas niepomału! Jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było! Wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwis, a poprawiwszy czapkę nabakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała hałastra:

— Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!

Pan wojewoda, nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy, co z tego będzie? Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra.

— Ojcowie święci — rzekł, ukłoniwszy się wokoło — piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. Wiwat!

— Wiwat! — wrzasnęła szlachta. — Wiwat! Wojewoda połocki wiwat! — I, zapomniawszy wierszów, porwała wojewodę na ręce i podrzuciła wgórę, nie przestając wykrzykiwać: wiwat!

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości niema! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut, bo do niego z całego województwa, jak do doktora po recepty, udają się po oracje i wiersze, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie przeszkody, doszliśmy do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciu waltorniami w licznej komitywie przyjaciół spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z marcepanów, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej zwierzyny, że aż stół się uginał.

Odbywszy kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy zapijać tłuste kęsy wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmisków, stawały nowe, również sowite. Te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanij. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się wiwaty.

Za każdym wiwatem, do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewki przyśpiewywały chórem wesoło:

Wypił, wypił, nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił! etc.

A potem huknęły kurdesza i czumadrychę. Wytrzymać już nie można było! Czumadrycha, to skoczna nuta! Więc poły za pas zawinąwszy, wyrywali nasi bracia dziewki od waltorniów i dalej w obertasy!

Ja tego uczynić nie mogłem z racji obecności wojewody, ale choć na miejscu podskakiwałem. Bo, dalipan, trudno było ustać! Sam pan wojewoda całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotówek posypało się, trudnoby zliczyć! Garściami dziewki zbierały pieniądze. Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Śpiewanie i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko!

Dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki.

Przelęknione dziewki wrzasnęły okrutnie. Wnet ktoś zawołał:

— Łapać *excessantów!*

Hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie

strony. Wszyscy krzyczeli: „Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż!“ — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany. Istna wieża babilońska!

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło. Posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. Pan Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę. Nakoniec wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!
A my jego słudzy
Pijmy, jak i drudzy.

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

V.

Nazajutrz przed wschodem słońca wszedł do mnie pan Stanisław.

— Panie bracie, panie Michale! — rzekł, budząc mię. — Wstawaj! Konie gotowe! Za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że jeśpan szambelanic bez zawodu stanie na placu, nie będziemy więc długo czekali. Sama zaś sprawa... nie pociągnie... nadzieja w Bogu i w Harasimie.

Przypasałem więc i ja moją Elżutkę—szable augustówkę, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty bracławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o stajęodprowadził. Pan Stanisław dobył Harasima i wbił go w ziemię.

Uklękliśmy przed figurą Pana Jezusa i zaczęliśmy się modlić.

— *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* [1]) — wymawiał ze skruchą, bijąc się w piersi pan Stanisław — ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa. Amen.

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając wąsa i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody.

— Miłyż Boże! — pomyślałem — nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim rozprawę, pewnie fatalną dla siebie.

Pan Swieboda niewysoki i przychromywa trochę na prawą nogę, bo na którymś sejmiku w piętę go postrzelono. Na twarzy jego djabeł (jak to mówią) grał w tryszaka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilku szramami od pałasza. Kłębów pan Stanisław zupełnie nie ma, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! Ależ zato plecy! Jak ława! A ręka, jak łopata! Kiedy to ściśnie z całego afektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona służy mu wyśmienicie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi.

— Płażyłem ja, płażyli i mnie — powiada.

Niezadługo ujrzeliśmy sześciu konnych, sadzących do nas, nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

— Źle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław. — Już podobno nie trzeźwi! Lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam, a ty, panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kilkanaście kroków zsiedli z koni wszyscy, a sam tylko szambelanic dobył szabli i le-

[1]) Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!

ciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi Harasima, podjechał z przysiadkiem. A kiedy się dźwignął potężnie!... furknęła w powietrzu i precz odleciała szabla szambelanica, a sam on z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co, panie bracie? — rzekł pan Stanisław. — Wstawaj! Na plecach krzyża robić nie będę.

— Pogodzimy się, panie podczaszy! — rzekł, powstając szambelanic.

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci — masz satysfakcję, panie podczaszy!

— Zgoda! panie Stanisławie! — rzekłem i ja.

— No, to niechaj sobie i zgoda! — powtórzył pan Stanisław, chowając Harasima do pochew. — A drugi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strelczyka, bo waszeci nastrelaje.

Znowu krzyknęliśmy:

— Zgoda!

Uścisnęli się przeciwnicy i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

VI.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony. Lecz gdym stanął przed nim i opowiedział rację mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował zwycięstwa.

Był już u wojewody pan podwojewodzi Korsak, pan Rudomina, pan Szyryn, pan Podwiński i kilku innych wojewodzińskich. Zdanie było wojewody i niektórych panów, zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję pana Piekarskiego na cmentarzu obok kościoła i postawić szyldwachy przy drzwiach.

— Ojcze święty! Biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta... Kapela na przedzie — rozkazał mi wojewoda.

...furknęła w powietrzu i precz odleciała szabla szambelanica, a sam on z impetu padł jak długi na ziemię (str. 16).

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński. — Bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partji, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie.

— Więc cóż robić, ojcze święty?

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale w ogólności u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzji, ojcze święty?

— W konkluzji, idź pan śmiało do kościoła i zasiądź swoje senatorskie *stallum*. Przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza.

— Ojcowie święci! Wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych i zasadźcie od wielkiego ołtarza. A gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcze święty, powracaj tu do mojej asystencji — rzekł do mnie wojewoda.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora dominikanów (w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik) i, udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy z należytą adoracją *sanctissimum*[1]) do klasztornej kaplicy. Potem szliśmy wybierać gwardję dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław. — Poco darmo mamy się włóczyć? Mam pięćdziesięciu Porczyńskich, cała okolica! Chłopcy jak dęby! Zajmę z nimi prezbiterjum. Zaręczam, że dotrzymają zapoń-

[1]) Najświętszy Sakrament.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Księgarni T. SZCZĘSNY
Toruń, Szeroka 26/28

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

czykom, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie wytknie.

Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich ludzi. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowicie zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy. Idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali:

— Swiebodczyki! A dokąd? Swiebodczyki!

Porczyńscy poglądali zpodełba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie. Ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatnął który!...

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcji pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem naoścież drzwi kościoła a zamknąłem furtkę od zakrystji i schowałem klucz w zanadrze, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do rejterady. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

VII.

Pan wojewoda wspaniale wystąpił i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotemi. Żupan materjalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie! Pas bogaty w karpią łuskę, aż złoto ciekło z frendzlów. Nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało.

Pan to szczupły, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, bo łby golone wychodzą już z mody. Oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze pod-

sunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bezustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy. Ja tuż za nimi prowadziłem trzysta szlachty, którym, jako i swiebodczykom, po bigosie i palonym krupniczku z łysin się kurzyło.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę. Gdyśmy już wchodzić mieli, Junosza, zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuścimy i zamkniemy drzwi pod nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem wewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie zapończycy, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski. Podałem klucz od zakrystji wojewodzie.

— Ojcze święty! Masz rozum! — rzekł mi wojewoda.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą swiebodzińską gromadką. Zapończycy zdębieli, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych.

— Zdrada! Zdrada! — krzyczał pijany Junosza. — Twardowskiemu djabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem, przystępując doń impetycznie. — W domu Bożym o djable wspominasz! Czekaj! Idę do dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa! Oni cię wyklną, a my upieczemy na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka! Precz z domu Bożego! Precz!

I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy. Ale on, od swoich nawet łajany, spuścił uszy i schował się gdzieś pod

ambonę. A tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi.

Otóż to zaczął się hałas i rwetes, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafimy już do końca.

Podkomorscy krzyczeli:

— Prosimy na posłów pana Sielickiego i pana Reutal Wiwat pan Sielicki i pan Reut!

— Wiwat pan Sulistrowski i pan Brzozowski, posłowie województwa płockiego — wrzeszczeli nasi.

— A gdzież on? Ten pan Sulistrowski? — zapytywali jedni.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie:

— Prosimy naprzód spalić heretyka Junoszę! Kto w Boga wierzy, pal! Bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiemy!

— Palić heretyka! Palić! — krzyknęli wszyscy Porczyńscy.

Spojrzałem w oczy panu Stanisławowi.

— Popieraj moją propozycję, panie bracie! — rzekł do mnie.

I znów zaczął perorować:

— Kto z kim przestaje, takim się sam staje. Więc i my, mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziemy herezji! Idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask:

— Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja, o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem:

— Nie pozwalam! Junosza nietylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku i nie upił się. To czary! Po sprawiedliwości, spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacji, bo już cztery baby pławiłem. Proszę o wydanie osoby czarownika, a ja go spławię!

— Jeżeli utonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk! A jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy. — Naco te ceremonje z heretykami? Pal! Kto w Boga wierzy, pal!

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znaki moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się. — Pławić czarownika Junoszę! Po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzyli na nas z podziwieniem.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się, pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalimy, tylko wykurzymy tego burdę i opoja. — A krzyczał głośno: — Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o wydanie Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

— Zapraszam panów braci na pławienie! — krzyczałem.

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał. A gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* [1]), pławienie czarownika! W życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co, mości panowie? Dajmy Junoszę na próbę.

Widząc Junosza, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na stracenie, chyłkiem poza filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

VIII.

Tymczasem pan Podwiński pisał i pisał. Pan wojewoda, chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem,

---

[1]) Widowisko.

siadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda, a że jezuici nie wykończyli oracji, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a elokwencja pana wojewody niezawołana, przeto powtórzywszy znowu:

— Ojcowie święci! Panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać naszego godnego urzędnika ziemskiego, wielmożnego pisarza Podwińskiego...

— Niema zgody! — wrzasnęli nasi przeciwnicy.

Więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... Gdy nagle głos trąbki pocztowej rozległ się przed kościołem... Umilkła wrzawa, wszyscy, zdumieni, obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski.

Szlachta nasza połocka nie znała go, bo on oszmiańczyk. Ma tam swoje dobra Szemetowszczyznę, Wiszniew, Czurlonie, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych intencyj, t. j. króla naszego miłościwego, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan Kocieł i pan Bieńkuński, więc pan pisarz wielki litewski, mający w połockiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześnie o tem do wojewody.

Wielki rumor się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się na wszystkie strony. A wiadomość, kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa prosto z Warszawy.

Niewysoka to kreatura pan Sulistrowski, ale głowa mądra, że nabok i nasz pan Podwiński. Nie ma on miru między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak się pokaże na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez oracjów, bez argumentów i traktamentów, tak wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem konferencjach ukartuje, że ani się spostrzegą, jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a urzędy biorą jednomyślnie ci, o któ-

rych przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachcie ani się śniło! Powracają więc potem, spuściwszy nosy na kwintę, do domów, przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i farmazon skończył sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił.

Przyszedłszy do stołu, pan Sulistrowski uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, wyjął z zanadrza list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, i oddał go wojewodzie, mówiąc: *„od króla Jego Mości“*.

Pan wojewoda dostał list z koperty i przebiegł go oczyma.

— Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł. — Ponieważ pismo miłościwego pana bardziej się tyczy całego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nastawili uszy i z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał.

„Wielmożny uprzejmie nam miły!—czytał wojewoda.— Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo połockie posiada zapewne w gronie swem mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej. Lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadcz uprzejmość wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę królewską. Dobrego przytem zdrowia i uprzejmości waszej od Boga życzymy“.

Po odczytaniu znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się:

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

Pan Sulistrowski stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko podkręcał wąsika. A szlachta krzyczała.

— Prosimy pana Sielickiego!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy:

— Oto *Reverendissimus* [1]) *Reut* z kazaniem!

Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! Ja wasz brat szlachcic! A szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie! To wszystkim wiadomo. A co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz (tak się nazywa folwarczek pana Reuta), i kto z nas nie będzie posłem, to niech pchłę zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi* [2]).

— Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan Reut! Wiwat pan łowczyc, poseł nasz! Wiwat!

— Prosimy pana wojewodę o głosowanie, kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny, bo nasi także przebąkiwali, szczególniej przeciw panu Sulistrowskiemu:

— Naco nam oszmiańczyk, kiedy mamy własnych?

Poznał on, na co się zanosi. Szepnął na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał:

— Ojcowie święci! Spóźniona pora. Odwołuję sesję na jutro.

— Niema zgody! — krzyknęli przeciwnicy. — Niema zgody! Większość widoczna! — dodał pan Sielicki — więc albo panowie współkandydaci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do głosowania.

Zawrzało teraz, jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesja odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc:

— Wiwat pan Sielicki i pan Reut!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda:

— Ojcowie święci! Odwoławszy sesję, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystję.

---

[1]) Przewielebny.

[2]) Powiedziałem.

Pan Sielicki oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— Jakiem prawem? Ojcze święty!..

Bliziuteńką już zwadę przerwał pan Sulistrowski. Zbliżył się on do pana Sielickiego i rzekł po swojemu, to jest zcicha i skromnie.

— Racz, mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sesji do jutra. Dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego Pana, który przeze mnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — spytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu. Ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął mięknąć i konferować ze swoimi. Szlachta, nie wiedząca o niczem, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła:

— Panie Mateuszu! A prowadź waszeć! — i wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutek.

Jakoż zrobił się ruch wnet między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, zwoływał, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich, podjąwszy czapkę wgórę, zawołał:

— Na obiad! Mości panowie! Na krupnik i na pieczenie! Mości panowie!

Podobała się propozycja.

— Na pieczenie, na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni. I Mateusze połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników, na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się podkomorzy. Wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.

IX.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan Sielicki podkomorzy, naczelnik naszych przeciwników, więc za nimi przyszli i panowie Norniccy, Przesieccy, i pan Reut, i kilku niższego chóru braci szlachty z ich partji. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególniej, jakie to fawory królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości, pan Stanisław szepnął pod sekrétem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysyła pana podkomorzego posłem do Turcji, a cały trakt zapoński wyznacza mu na asystencję.

— Czy to aż za morze, mości dobrodzieju? — zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdziesz.

— To pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli — rzekł szlachcic. I, pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan Sulistrowski unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał konferencję. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda:

— Ojcze święty! Trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu! Gdy usłyszy trąby — *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą i rzekłem z tęgą miną:

— Waza na stole!

Siadano do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycji pańskiej.

Obok pana wojewody usiadł z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej pan podkomorzy Sielicki. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku.

Pod koniec obiadu rzekł wojewoda do mnie:

— Ojcze święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!*

Ja tylko jeden zrozumiałem, co to znaczy. Jest w sklepie wojewody kapitalne stare francuskie wino, które pachnie chlebem razowym. Dla zapachu więc tego nazwał on je chlebem powszednim. Miałem ja wprawdzie między moją prowizją sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego chleba powszedniego, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu. Rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego specjału. Poznałem zatem, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czem zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), poniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną chleb powszedni. Powstał pan wojewoda.

— Zdrowie — rzekł — JW. Sielickiego! — Przestał, a potem dobitnie zawołał: — Kasztelana województwa połockiego!

Spojrzał, zdziwiony, pan Sielicki, obrócili się wszyscy ku wojewodzie. Ten stał, nie spełniając jeszcze kielicha. A wtem powstał pan Sulistrowski i rzekł, dostając z zanadrza znowu wielki list, z większą jeszcze białą pieczęcią:

— Król Jegomość, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swej łaski pańskiej i nagrodzić zasługi twoje, powołuje cię do boku swego, i konferuje wakujące krzesło senatorskie kasztelanji tego prześwietnego województwa.

Przywilej Najjaśniejszego Pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki.

Jakoż pan wojewoda, przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej i jedną ręką oddając go panu Sielickiemu, drugą podniósł wgórę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! Wiwat! Apel!... — i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki, jak osłupiały, stał, trzymając przywilej w ręku, a łzy mu po twarzy grochem się sypnęły...

Kielich przyjął od wojewody pan Sulistrowski i toż same powtórzył zdrowie, więc znowu trąby i salwa. Szło tak dalej i dalej. Aż pan Sielicki, ocierając z łez twarz i wąsy, zawołał do mnie:

— Panie marszałku! Proszę o kielich!

Jeszcze gęściej łzy mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodzianą godność. Proszę uniżenie! Nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w poczciwem sercu! Lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel. Skończył, wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego.

— Wiwat! — krzyknęliśmy wszyscy hucznie.

Od trąb i salw aż okna drżały. Pan Sulistrowski, podług zwyczaju swego, nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki podkręcał.

Podałem więcej kielichów, każdy je chwytał, i szły gęste wiwaty, razem poplątane: i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła. Jeden pan Reut, siedzący przy końcu stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową. Ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął: — Zdrowie pana Brzostowskiego, drugiego posła naszego! — pan Reut nie wytrzymał i zapytał:

— Cóżto, mości panowie? Czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej protestacji, ale i pan Stanisław, siedzący naprzeciw, spojrzał nań zpodełba i zcicha, ale dobitnie rzekł:

— Chapaj Reut miasa![1]).

Coby między nimi wynikło? Możeby przyszło znowu do Harasima, bo i pan Reut nie daje sobie grać po nosie. Ale kłaniający się uprzejmie wszystkim pan Sulistrowski, nie spuszczał z oka nikogo. Spostrzegł on już pierwej, że pan Reut nie przyjął podawanego przeze mnie kielicha, i poznał widać, co się święci. Nieznacznie więc przechodząc przez tłum, zbliżył się do pana Podwińskiego, szepnął mu coś na ucho. Ten znowu zbliżył się do pana Reuta i szeptał mu długo. Poprowadził go wreszcie za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan Sulistrowski.

Pan Stanisław spojrzał na mnie, ja na niego i, gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie zcicha:

— Oj! panie bracie! Na ciężką spowiedź wzięty nasz kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum!* W szkołach pijarskich ćwiczony!

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan Sulistrowski pchłę wrzucił. Pamiętasz koniec reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie obserwował, więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza, pod ręce wziąwszy się, przeciwnicy. Pan Sulistrowski z uśmiechem na twarzy i podkręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc jakby drwinki sobie robił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu! — rzekł do pana Brzostowskiego — podziękuj pan zacnemu swemu przeciwnikowi, panu Reutowi, który zrzeka się i odstępuje swoich zamiarów.

---

[1]) Jedz, Reut, mięso!

— A to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy inkluzę ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma inkluzę i nosi ją tu — odpowiedział, stukając się palcem po łbie.

Jakoż ściskali się z jawnym afektem pan Brzostowski z panem koniuszycem. A wojewoda, patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! Gdy tak wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich.— Kochajmy się! Apel! — zawołał, wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada. Ale wtem zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dziedzińcu i pod oknami. Kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie:

— Wiwat pan Sielicki, poseł turecki! Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali się, co to ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni i nie przestawała krzyczeć, podrzucając czapki wgórę:

— Wiwat pan Sielicki, poseł turecki! Wiwat! Pojedziemy wszyscy za nim do Turcji, choćby i na kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody i wytłumaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława. Zmarszczył się nieco.

— Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosimy zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojeństwo pana kasztelana połockiego i z nimi razem powtórzymy: Kochajmy się!

Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wyszliśmy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam. Flinty błyszczały rzędem, jak dudy od organów.

— Prezentuj broń! — krzyknął on, ujrzawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tempa — udało się; potem — do nogi broń! — to niebardzo zgodnie poszło. — A teraz nabijać! — ale zagniewany Piekarski, że nieraźno spuścili broń do nogi, dodał zcicha:

— No, poczekajcie tylko!...

Więc zaczęli poczekiwać. Piekarski znowu:

— A nabijajcież! Niech was piorun trzaśnie! — więc nabili.

— Gotowo?

— Gotowo!

— To znowu — na ramię broń! — i stoją, czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana Sielickiego, obok stojącego. Na skinienie pańskie wytoczyć wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i sączyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć, czem pić będą, bo wszystkie z całego Uszacza półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty, a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończył orację, w której, prawdę mówiąc, najczęściej było słychać „ojcowie święci“ a której słuchała szlachta z otwartemi gębami.

— Wypijmyż — rzekł — zdrowie nowego senatora JW. kasztelana połockiego! Apel!...

Piekarski komenderuje: *tou! tuy!* kurki *traf, traf!* a szlachta, posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem — Cel! pal!... jak orzech zgryźli. — Wiwat! — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! Tak i pojedziemy z nim do Turecczyzny. — Znowu apel! i znowu *rrum!*

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski, pewny swojego, raniutko pożegnał wojewodę i wszystkich panów urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery. Gdyśmy się zebrali do kościoła pod laską nowego już senatora, pana kasztelana Sielickiego, ten, zagaiwszy sesję, zapytał krzykrotnie o zgodę na panów Sulistrowskiego i Brzostowskiego, jako posłów województwa połockiego na sejm. Szlachta krzyknęła za każdym razem: — Zgoda — i nakońcu: — Wiwat!

Ichmość wybrani, wziąwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. Wtem odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan Sulistrowski uścisnął kolegę w babińcu, podkręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, ukłonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do kocza, i tyleśmy go widzieli.

Ale co dziwne było wszystkim, że z nim siadł i pan Reut, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką.

X.[1])

Co mi uczynił, jakiej niesprawiedliwej napaści ze strony wojewody byłem przedmiotem, opisywać nie będę.

...Pan wojewoda tak się uniósł, że Bóg wie, coby się stało! Możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu, gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi połocki Korsak, przyjaciel wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu, zabiegłem tylko do swej stancji, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilku talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiej. Resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki), ruszyłem z kopyta za bramę. Skręciłem na prawo drogą do Głębokiego. I lubo już zmrok zapadał, a wkrótce i noc dość ciemna się nasunęła, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń leciał po gościńcu, ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! Jeszcze było z pół mili drogi, gdy padł bez tchu!

[1]) W tem miejscu brak kilku kart w Pamiętniku.

...wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami! (str. 35).

Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców karmelitów. Szarzało, gdym do kościoła się dostał. Księża śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor był z nimi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje, ksiądz przeor najpierwszy wyszedł z chóru. Na korytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano, panie Michale?

Wytłumaczyłem mu niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

— To inna sprawa — rzekł, wysłuchawszy mnie cierpliwie, i dał znak ręką, abym szedł za nim.

Korytarze puste jeszcze były. Niewidziani dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie przez alkierz do osobnej komnatki i rzekł:

— Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który, jeżeli się dowie, żem cię przechował, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie miłość chrześcijańska nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, dalej cię wyprawię. Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda: „Kiedy trwoga, to do Boga!“ Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno się zrobiło. Ukląkłem więc, obróciwszy się ku kościołowi, a spostrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tem gorliwiej modlić się począłem.

Wstałem, a rzeźwiej mi jakoś i weselej już było.

— Wolaż Pana Boga! — pomyślałem, pokręciłem wąsa (ach! ktoby to zgadł, że ostatni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! W Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu pełne flasze! A jakie za-

kąski! Pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, smaczna wędlinka! Niczego nie brakło. Posiliwszy się porządnie, wypróżniłem flaszkę wina i, rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie się przeor dobudzić. Fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły.

— Wstawaj, panie Michale! — zawołał on — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka i żeś tu za furtą. Nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej peregrynacji. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem! — odpowiedziałem. — Zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

— To dobrze. Ale cóż tam sobie poczniesz?

— Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka.

— A gdyby kaptur? Wstąp do zakonu!

— A to dlaczego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! Gdybym to był pewien, że będę przeorem głębockim!

— Nie święci garnki lepią. Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzec... Ot, tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie powołanie... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej.

— No, wybieraj się teraz — rzekł przeor, ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą). Weź stąd stary zakonny habit. Za obszerny być

może dla ciebie! Temu łatwo poradzić. Znajdziesz tu pościel. Poduszka uzupełni cyrkumferencję twoją, po bernardyńsku zaokrągli twoją figurę. Potem zda ci się ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogol wąsy! Przyniosłem ci brzytwę w kieszeni.

— Jakto? Mam ogolić wąsy?

— A naturalnie! Żaden przecie zakonnik z wąsami nie chodzi!

— Ależ ja nie mam jeszcze wokacji! Jeszczem się nie zdecydował!

— Nie o to idzie, mój bracie! W habicie z wąsami gdy kto cię postrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci wezmą! Ja innego środka nie mam; a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy.

Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami! Ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku! Przed rudominowskiemi tylko ustąpić musiały! A jakże ja je pielęgnowałem! Jak układałem i gumowałem! Jak niemi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem!

Ale cóż robić! Wypiłem duszkiem szklankę wina i... ogoliłem wąsy. Aż się przeląkłem, gdym obaczył siebie w lusterku! Goluteńki jak baba! Nos mój wyrósł we dwoje! Warga długa, jak u starego Niemca! Słowem, straszydło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazję chciałem pokręcić wąsa...

Reszta przyborów nie zabrała wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem, ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego. Nakoniec księżą czapeczką pokryłem głowę. Jeszcze raz spojrzałem w zwierciadełko i pewny byłem, że nietylko inni, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał.

Spojrzałem na moją Elżutkę, w kącie stojącą, rozpamiętywałem i rejestrowałem w myśli moją chudobę szlachecką, w kuferku zostawioną, gdy wszedł ksiądz przeor.

— No, ojcze Michale! — rzekł on — oglądając mnie ze świecą od nóg do głowy. — Cóżto waszmości? Łzy w oczach? Wstydź się! Powrócisz znowu do ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz! W Mińsku zrobisz z sobą, co zechcesz! Nie płacz więc jak dziecko. Pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja, posyłają cię z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego. A to list ode mnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu w cztery oczy. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł — sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuje pokornie, *Reverendissime* [1]). Mam swój maleńki zapasik.

— Od przybytku głowa nie boli! Przyjm śmiało. A teraz idźmy...

Więc ja z kąta za Elżutkę... a on mię za rękę.

— A cóżto znowu? Czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz jegomość dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię. Ukryję ją w wozie, z mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna, i furman nawet nie zobaczy.

— Oj! Ta szabelka odwodzić cię będzie od pobożniejszych myśli. Zresztą... Nie tracę nadziei... Jedź z Bogiem, a ja jutro odprawię mszę na twoją intencję.

XI.

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku. Zajechałem prościuteńko do karmelitów. Klasztorek to nędzny. Ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Zobaczywszy mnie, przełożony krzyknął:

---

[1]) Przewielebny.

— Czy poszaleli? Przysyłać mi do ubogiej rezydencji taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Wsunąłem mu list. Ujrzawszy znak na kopercie „*soli*“ [1]), spojrzał na mnie i poprowadził za sobą.

— Ot tobie masz! — rzekł, odczytawszy pismo — co ja z wasanem pocznę? Ksiądz przeor pisze mi i to, i owo...

— Nie alteruj się, *Reverendissime* — przerwałem — proszę tylko o lokację na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Przeor wszedł do alkierza, wyniósł stamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka.

— Posil się, wasan, po drodze, a ja tymczasem pomyślę.

Siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi, nic nie mówiąc. Odczytywał list po kilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem, na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru bernardyńskiego.

— *Salve!* [2]) *Reverendissime! Salve!* Cóżto? Masz nowego przybysza? — i, mierząc mnie okiem od nóg do głowy, dodał — postura jak kufa, ot co jest? Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić wielebność waszą na jutrzejszy odpust do nas wraz z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią, ot co jest. Więc nowoprzybyły pomnoży naszą celebrę. A kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycję księdza kustosza dobrodzieja. Co zaś do tego pana, przeczytaj, *Reverendissime,* ten list, wyrozumiesz może lepiej ode mnie sens onego i obu nam poradzisz.

— Cóż tu niezrozumiałego — rzekł ksiądz kustosz. — Ksiądz przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego

---

[1]) Do rąk własnych.

[2]) Witaj!

listu, panu Michałowi Ławrynowiczowi, byłemu marszałkowi dworu pana wojewody, dał u siebie schronienie i wygodę na kilka dni, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się jegomości nie z jego, broń Boże, przyczyny, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań zagniewanego wojewody pochodzi. Ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie!

— Aha! nie spostrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego krewnego, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. *Una salus servire Deo, caetera fraudes!... intelligis? Prudenter age!... et fiat voluntas Dei*" [1]).

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i niema rzeczy! Ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! Najprawdziwsza prawda. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już zostań naszym bratem bernardynem! Daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży karmelitów. Ot co jest!

— A to dlaczego? — zapytał poruszony przeor.

— A to dlatego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, pokorę, która, jak wiecie, niebiosa przebija! Ot co jest! No, ale na czemże staje? — i, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — Ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu eks-marszałkowi i ciasno, i głodno. Ot co jest! Zatem, mój dobrodzieju: nim cię Bóg tak

[1]) Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność! Rozumiesz? Czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża.

i owak obróci, pomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincjała, którego się wkrótce spodziewam. Ot, co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą w zakrystji.

Ponieważ mnie ksiądz przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się i pożegnał wdzięczniej, niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku, a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się odrazu spodobała. Zaprowidował ją we wszystkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Zająłem się jutrzejszym obiadem, mając do pomocy starego brata kanaparza. Wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A po tej pierwszej próbie ksiądz kustosz zaprosił mnie do niejakiego przełożeństwa nad zamożną klasztorną spiżarnią i piwnicą, czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili. A nawet od dnia do dnia coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne i pobożne między braćmi życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga! Gdy rano poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie.

XII.

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, gdy wszedł do mnie ksiądz kustosz.

— A jaką to zakrystję ubrałeś, panie Michale? — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ksiądz przeor głębocki. — A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie zobaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *aspergesl* — mówił on, gładząc pas mój lity. — Z żupanów grodeturowych i atłasowych — ornaty, z kontuszów — *antepedia,* a z właściciela — obracając się do mnie — bernardyn. Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime,* po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Djabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze, ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Panie Michale, posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć. Lecz w spokojnem, zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Jeżeli nie masz jakichś szczególnych zobowiązań na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencję nieszpory. Wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób, co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi. W głowie mi szumiało. I tak dobrze, i tak źle... A Bóg

wie tylko, co lepiej, a co gorzej. Więc czekałem niecierpliwie nieszporów.

Modliłem się długo. Gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele, i nieszpory się skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, a ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... Wtem usłyszałem stąpanie za mną. Obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfesjonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie! Niech cię Bóg w niem utwierdza! Ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę. Zmówiliśmy *Te Deum laudamus,* wyszliśmy przez zakrystję na klasztorne korytarze i poszliśmy do mojej celi.

Spakowałem bez ładu, ale i bez żalu moje suknie i pasy do kuferka.

— To, ojcze! — rzekłem — zanieś do siebie, oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział mi — zaniesiemy kuferek ten do zakrystji, bo już to ni moje, ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Kuferek został więc w zakrystji, a ja, pożegnawszy księdza kustosza, udałem się na spoczynek i bez żadnych żalów najspokojniej zasnąłem.

XIII.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy.

— Ksiądz kustosz pozdrawia — rzekł i habit położył mi przy łóżku. Nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... Wtem zastukał do celi ksiądz kustosz, idący na mszę.

— A cóż? panie Michale! Jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem. — I wnet się oblokę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej i postanowienia nie zmienię.

Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu. Ale to krótko trwało, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana! Przeżegnałem się, i zło znikło. Ksiądz kustosz, obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do jego celi, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny. Zeszli się wszyscy księża.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystego powołania, którem go Bóg nawiedził. Cieszmy się zatem, bracia mili, bo i z nauki, i z obyczajów będzie on pożyteczny Bogu i ludziom. Ot co jest!

— Bracie Michale! — mówił dalej kusztosz — zdaję waszeci zupełnie naszą spiżarnię, piwnicę i kuchnię. Dodaję, jako i dotąd, do pomocy naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie. Patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincjała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną przychylność i rzekłem:

— Podobno, *Reverendissime,* zakonnik nie może mieć ani grosza własnego. Oto mój mały zapasik! — i podałem kieskę z kilkunastu talarami.

— Możesz ten zapas zachować. Użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobimy z szabelką? — zapytał, uśmiechając się.

— Odeszlę ją przy okazji memu przyjacielowi, podczaszemu Swiebodzie. Ma on Harasima, niechże go ożeni z moją Elżutką!

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincjał, a za nim kilku gwardjanów, jadących do Nieświeża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią! Cokolwiek się na przystawkach ukazało, warte było gęby. Nie traktowałem ja ich żadnemi pańskiemi frykasami: hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty: kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smacznie ugotowane.

— Kto u ciebie, bracie — zapytał ojciec prowincjał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek, Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię. Ot co jest!

Gdym przed księdzem prowincjałem postawił przystawkę z kapłonem, śledziami nadzianym, spojrzał on na mnie i, zmierzywszy od stóp do głowy, rzekł do mnie:

— *Gratias ago,* dziękuję.

Upodobał jakoś nikczemną personę moją ojciec nasz.

— Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął na kapitułę. Będziesz waszeć i tam, w Nieświeżu, zarządzał spiżarnią naszą, a potem obierzesz sobie rezydencję, gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem bądź zdrów.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświeżu, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłemi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnemi i specjałami z klasztoru sióstr naszych bernardynek mińskich, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są opieką.

XIV.

Wielki, bo największy pan w całej Litwie, jest książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświeski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem. Koło niego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom nieświeskim hojnie udziela, a szczególniej naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierwej więc, gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincjał i wszyscy gwardjanie udali się do zamku z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie patrów i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w nieświeskim klasztorze, sam swoich gości podejmować będzie.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów. Do piwnicy wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście. Ryb na dni postne z ogromnych stawów nieświeskich dostarczyć obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zebrali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną asystencją swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe ordery i brylanty, a nawet, zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Otóż, gdy książę wszedł do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz prowincjał piękną go powitał oracją, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją obecnością, a nakoniec polecał Bogu duszę jego i świątobliwych jego przodków.

Książę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę rekognicję waszego afektu ku mnie i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego

klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązkowi.

Po tej ceremonji wyszedł książę, a ojcowie zdębieli na to jego oświadczenie, że na sesjach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, skąd ta fantazja? Wymawiali nawet prowincjałowi, że go zapraszał. Zresztą pocieszali się nadzieją, że po kilku sesjach książę uwolni ich od swojej obecności.

I prawda... Uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subjekcji, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: Gdy przyszło do wybierania gwardjanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, książę zaczął rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, panie kochanku! — rzekł najprzód do mego księdza kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardjanem, bo teraźniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ociężał, na nic nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu nie poszedł. A waść, kiedy tu przed kilku laty byłeś gwardjanem, to aż do łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedziaś zabił.

— Ależ wasza książęca mość mylisz się zapewne! Byłem tu gwardjanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet w mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co, panie kochanku? Nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? Całe moje myślistwo przyświadczy! Otóż waść będziesz znowu gwardjanem w Nieświeżu, waść w Bucławiu, waść w Wilnie kustoszem, waść do Citowian, a waść do Bienicy... i tak dalej, z rejestru.

Ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał z krzesła, ukłonił się wszystkim niziutko.

— *Mea culpa,* panie kochanku, *mea culpa!* — zawołał i wyszedł pokorniuchno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą.

Ale jak tylko na korytarz się dostał, pokazał, co umiał. Zabrał wszystkie klucze ode mnie i od kanaparza, postawił warty przy spiżarni i piwnicach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rondle powywracać, a sam powrócił do zamku.

Trudno opowiedzieć, jaki to rozruch sprawiło w klasztorze! Pomieszały się sejmiki kapitulne! O obiedzie ani pomyśleć! Słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodowej śmierci. Prowincjał zatem z dwoma patrami udali się na zamek.

Książę rozdąsany nie dał im mówić.

— A tak to, panie kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule! A waszeć o tem wszystkiem ani dudu! Odtąd, panie kochanku, rzeczy do dawnych karbów klasztornych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawać będę codzień dla waszeciów ze spiżarni klasztornej obiad i wieczerzę!

— Ależ, mości książę dobrodzieju! — przemówił prowincjał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy! Ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, panie kochanku! Słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku! A potem, panie kochanku, zasiądziecie tu na narady, a ja sam klasztorem zarządzać będę.

Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak zwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmi-

sków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia serwitory. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował.

A tymczasem wozy i konie nasze przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery. Bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki sejmiki kapitulne się nie ukończyły. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycji księcia.

XV.

Gdy tak książę syndyk rozporządził naszą kapitułą, ja z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu. On gwardjanem, a ja bratem pod jego ręką. Wróżyłem sobie takie samo życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły zawołał mnie ks. gwardjan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, obedjencję [1]), dziś tu od księdza prowincjała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w imię Boże! Ot co jest!

— A mnie to naco?

— Nato, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjemy. Ojciec prowincjał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość jego dla klasztoru. Nareszcie, krótka sprawa — obedientia! Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojcze! Ale jeżeli kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może! Żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. Ot co jest! Mówiąc prawdę, jest

[1]) Polecenie, rozkaz.

jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla bernardynów. Dlatego ruszaj waszeć i ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

— Ależ, *Reverendissime,* ja nie wilk, chwytać baranów nie będę! Ile dadzą, tyle nazbieram.

— Racja! Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! — Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. Waść dworak, potrafisz więc sobie poradzić! Ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska. Nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest!

Wychodziłem, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardjan.

— Ale! — rzekł — lubo figura twoja nabywa już cyrkumferencji bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie wyrzec się trzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tem bardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej bernardynki. Cały świat zażywa tabakę, i bernardynka sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to trzeźwi i rzeźwi. Spróbuj waszeć.

— Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardjan, gdym zażył i kichnął. — A co? Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: panie dobrodzieju! mości dobrodzieju! a u nas niema ani mości, ani panów. Wszyscy zarówno są nasi dobrodzieje tylko, i bez dodatków, dobrodzieje. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze poprostu, po dawnemu, to grunt! Masz starego klasztornego furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy obwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany prowodyry, i psa wiernego

— *Laudetur* Jezus Chrystus!
— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziałem.
— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi? (str. 52).

na stróża twojej przyszłej trzody i wozów! A więc: *Deus te benedicat, ducat et reducat* [1]). Ot co jest!

Poszedłem do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz wysłuchawszy rano mszy świętej, siadłem na wóz.

Na przodzie Eljasz i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyi, przy nich pies Pamfil, za niemi Marcin na kałamaszce, z wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, zaprzężonej w siwą i trochę chromą kobyłę. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „Zawitaj, ranna jutrzenko!“ Ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy miasteczko.

XVI.

— Gdzież pojedziemy, Marcinie? — zapytałem.

— Gdzie oczy poniosą, mój jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź.

— Jużto, mój jegomość, do bliskich tu dworów niema poco zajeżdżać. Trzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę jegomościa do mojego starego przyjaciela, pana Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę. Jego baran szczęśliwy, bo poczciwą ręką, i nie żałując, daje.

— Dobrze, jedźmy do pana Bielewicza — rzekłem.

Wlekliśmy się noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki.

Stary był Marcin, ale czerstwy. Wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwone, oko żywe, jak u młodego. Miał na sobie habit przykrojony na kapotę, na nim starą płócienną czujkę, z kapiszonem ztyłu dla okrycia głowy od deszczu, na której teraz wysoka czapka z czarnego ba-

[1]) Niech cię Bóg błogosławi, prowadzi i przyprowadzi.

rana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty był szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

— Ależ jegomość milczysz jak pień — zagadnął mnie Marcin.

— A• cóż mam gadać, mój kochany Marcinie?

— A to trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może jegomości się zdaje, że gadać z furmanem, to na godność jegomościną nie przystało? Ja i prowincjałów woził, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem.

— Czy wiesz, jegomość, jakie to na prawo nieznajome miasteczko?

— To Mir, zdaje mi się.

— A tak, Mir. A wiesz jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja jegomości powiem. O tym dzwonie jest taka dykteryjka: Nasz książe Panie Kochanku jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami. Tak mu raz przyszło kuso i niebezpiecznie, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ujść pewnej zguby. Otóż ślubował wtenczas kościołowi mirskiemu taki dzwon, aby, gdy w Mirze na rezurekcję zadzwonią, w Nieświżu słychać było. A to cztery mile, mój jegomość!

Więc jak tylko powrócił do Nieświża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze. Wyleli jeden. Dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświżu! Panie Kochanku dodaje złota i srebra do materjału, każe wylewać drugi większy. Znowu leją i znowu dzwonią cały dzień! — Nie słychać! A trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty! Leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora Panie Kochanku, w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi

i łgał na czem świat stoi. Bo to już jego zwyczaj... Kiedy jednak przebrał miarkę, nie wytrzymał pan Michał Chodźko i powiedział:

— Mości książę! Dzwon mirski słychać!

Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił:

— A widzicie, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum!*

— A jakże niema być głośnym — podchwycił Chodźko — kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny. Gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się. Ale już dzwona nie przelewał. Owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i książę zawsze powiada: — Słychać Karola w Nieświżu!

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Jakże nie wiem? Pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczerozłote były, mój jegomość! A wielkie, jak chłopczyki lat sześciu.

— Ej, czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? Dość, że książę, wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów. Zawiózł ich najpierw do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy... A hej, dropiaty! Na prawo! A hej!

Wjechaliśmy krętą dróżką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już niema, czy wymyślając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć zdaleka.

Pokazał się wnet na przodzie konny jegomość, suto i buńczucznie ubrany, w tatarce gęsto taśmami złotemi sza-

merowanej, z zawiesistą szlifą na jednem ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem po ubiorze, że żołnierz.

Za nim jechał luzak po ułańsku ubrany z chorągiewką, a za ułanem wóz z czterema tęgiemi końmi, na którym jeszcze jeden sługus i przy furmanie kozaczek z bandurą. Za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam pan, czupurny, wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, spojrzał na mnie wspaniale i założył za pendent książeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!* [1]) — odpowiedziałem.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny... Dobrodzieju — przypomniałem sobie naukę księdza gwardjana.

— Stój! — krzyknął on na swój obóz, z którym nam trudno było się wyminąć. — Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów?

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. Jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur?

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacja*.

— Może i to być! W twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, niż w habicie. Wiesz co? Porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet i, jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waść na to?

— Jestem szlachcic — rzekłem — równy każdemu. A cóżby pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, i, wspomniawszy na świętego Łazarza, a na koniec nędzny

---

[1]) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na wieki wieków.

bogacza, który „pychę w sercu swem chował“, oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę?

— Oho!—odpowiedział rotmistrz—to za mądre na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie!

— A juściż kwestarzem nie urodziłem się! Ale kiedy na wzajemne propozycje nasze się nie zgadzamy, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj — rzekł pan rotmistrz, zsiadając z konia. — Nie chciałem cię obrazić i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijemy tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska — rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specjały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień. Marcin z innej flaszki skosztowawszy, pokręcił głową i rzekł do mnie:

— To nie nasza podróżna, mój jegomość!

— A macież puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JW. panie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać — rzekł rotmistrz — flasz parę starej, a flaszkę gdańskiej kwestarzowi! I dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte. — Weź na pamiątkę rotmistrza pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, ściskając pokornie tak wspaniałego dobrodzieja.

On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamaszkę, spostrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendenta rotmistrza. Podjąłem. O jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł! — *„Żołnierskie nabożeństwo“* [1]).

[1]) Książeczka ta do nabożeństwa, dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

W tem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem:

— Powiedz twemu panu, że oto tak całuje go ubogi bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskiem jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie Wielmożny rotmistrz Chomiński! — odpowiedział i odjechał.

XVII.

W wielkich puszczach radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zasłużonych sług ze szlachty. Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary. Sam odemknął nam wrota.

— Bóg zapłać jegomości dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja! Bo to nowicjusz, nie wiedział, gdzie zawrócić! A zawsze zaczynam kwestę od jegomościa — odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marciniel Rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym. Jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krosnami. Była to córka pana Bielewicza. Obiadowa była pora, więc też zaraz proszono do stołu.

Zebrała się cała drużyna. Chłopcy dwaj dorodni, synowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się, przysiadała z nami, ale często wybiegała do piekarni. Pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura [1]).

[1]) Porcelana.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a sielanka na trzecie. Nakoniec przyniosła panna Anna dzban polewany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił i, stawiając resztę na stole:

— To — rzekł — lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze chrzczą wodą dla czeladzi, niech im Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwa. Oj, znam się na tem!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban. Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! A co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce! — mówił pan Bielewicz.

— Zdaje się — rzekłem — że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Już miałem kilku swatów, ale zato mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem.

— Pójdźmy, mój dobrodzieju — rzekł gospodarz — na świeże sianko. Odpoczniemy trochę!

Przespaliśmy się w stodole.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie już trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszkę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem, że zapasy nasze będą zawsze pod jego opieką.

Zasiedliśmy do chłodniku i kurcząt, a po wieczerzy każdy poszedł na swoje miejsce na odpoczynek.

Moja kwatera w świronku [1]), do którego wprowadzając mnie, pan Bielewicz rzekł:

---

[1]) Świronek — lamus.

— Jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Jużto moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przede dniem wybiorę się na zajączki w dalsze knieje od domu. Dziś więc żegnam jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedziny i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy prowodyrach.

— Nie, nie! — odezwał się, słysząc to, Marcin. — Spać długo nie dam mojemu jegomości. *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.* I my przede dniem razem wyruszymy!

Znowu poznałem, że nietylko moje puzderko, ale i ja jestem pod opieką pana Marcina.

Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy, wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota. Ja z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończemi i wyżłem.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitwy poranne odmawiał, pieski tylko odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki:

— No, synki! Na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, „zająca"! — zawołał.

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

„Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,
A myśliwy o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
Siedzi sobie, lamentuje,
Testament życia spisuje.
Śmiertelny! śmiertelny!

Aż echo rozległo się po kniejach! Ja zwróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwcy zapuścili się dróżką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą. Nakoniec odezwała się trąbka i potem ho! ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! Aż nam w uszach zadzwoniło! Pieski zagrały, a na sercu tak mi grało, tak było wesoło, że aż miło!

XVIII.

Czwarty to już, czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru, i przy Barabaszu i Eljaszu trzódka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem. W trzosiku moim do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotówek.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołem niebem, jeżeli nie we dworze jakim.

— Poco nam do karczmy? — mówił Marcin. — Mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i baranów napasiemy, i sami posilimy się, i nic nie zapłacimy!

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy. Ale spostrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć żebraninę, na co i Marcin się zgodził. Stanęliśmy z naszemi kałamaszkami obok pańskiej karocy.

Ujrzały mnie piękne panięta, to jest chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek. Wybiegli z karczmy, a za niemi ichmość rodzice wyszli.

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem, kłaniając się.

— *In saecula saeculorum* — odpowiedział, jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę — rzekł — nie masz gdzie popasać, księże kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! Ja też nie na popas tu zajechałem! Odpoczną tylko moje szkapy i powlokę się dalej.

— Pomieścimy się. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojemi i mój obrok zjedzą. Samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanji, kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JW. pana, bylem nie przyczynił subjekcji.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani.

Zostałem więc, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni. Ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie, i jego dobrze nakarmiono, udobruchał się i wnet pobratał ze wszystkimi.

W karczmie stół był już nakryty. Nim podano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowjalne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem, dotrzymywałem placu. Nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu! — rzekł starosta. — Obiad podróżny, krótki, porcyj bernardyńskich nie będzie, bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias* [1]), dobrodzieju! A nacóż więcej?

Jakoż był uczciwy rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mi nalewała. Posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatek po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! Jarząbków cztery a nas pięcioro!

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* [2]) Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nielada kwestarz! Musiałeś więc i szkoły traktować? Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *addycję* i *multiplikację* [3]), dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne. A o frakcjach

[1]) Dzięki Bogu!

[2]) Najdroższy.

[3]) Addycja — dodawanie, multiplikacja — mnożenie, frakcja — ułamki.

i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

— A więc daj dowód — rzekł starosta — swojej nauki! Podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcji się dostało. Kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz, co się zowie.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! Byleście się na mój podział zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie — rzekł znowu starosta — za siebie i za żonę, i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem! — Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje. Panicz, panienka i jarząbek, to troje. Kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje!

— Brawo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie. — Zgadzamy się na podział! Wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam — rzekłem. — Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a jeżeli JW. pani pozwoli, wezmę tę bułkę pieroga dla mnie, a dla klasztoru co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę do klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd o mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JW. panie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za nimi.

XIX.

— A cóż? mój jegomość! — rzekł do mnie Marcin — baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanów do czerwieńców rotmistrzowskich?

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz, mój jegomość, obiecanka cacanka! Jegomość wiesz, jak tam dalej. Coś mnie się zdaje — mówił Marcin, trzęsąc tabakę z rożka — że jegomość niesamowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład, jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A nacóż mam się domawiać? Skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że on zbiera jałmużnę i barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? Mój jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardjan z naszej kwesty!

— Czegoż chcesz? Kilka dni jeździmy, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Co to znaczy? Co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazbierał! Po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzaliśmy, które on albo konceptami swemi wyłudził, albo w elbecwelba czy w marjasza wygrał. A dla jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych, gdybym ja nie pamiętał, to przyszłoby i zęby na policy położyć. Czy jegomość zawsze zagryzasz po wódce?

— A jakże? Naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otóż widzisz jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił. On powiadał: — Napijemy się gorzałeczki, a całym baranem zakąsimy! — Ot jest już i baran. Albo prosi jakiego pana, by mu rozmienił talara na drobne. No, pan zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne. A on znowu: — Dajże, dobrodzieju, i talara twardego, abym miał czem za monetę zapłacić. — Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmielenia beczki żyta. Któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel, księże kwestarzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją

dasz, dobrodziej! — Ot znowu, chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta. A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. — Szlachta, rzekł do mnie ksiądz Jacek, podjeżdżając, niewiele chowa owiec i sami kożuchów potrzebują, ale zato wiele i tłustych wieprzów żołędziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę. Muszą mieć zapasy dobre. Zobaczysz waszeć, jak ich zażyję! — Dobrze mi tu między wami, panowie bracia szlachta, powiada ks. Jacek, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! Bardzo źle! — Cóż takiego? — pytano — Choroba, śmiertelna choroba! — Jaka? Gorączka? Zaraza? — Oj nie, gorzej. Oto wszyscy z nocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi i teraz wszyscy kachu, kachu! Ani sposobu. Pan doktór Eme, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku. — A niechże Pan Bóg broni! Niech doktór daje lekarstwa. Na to on doktór. — Otóż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma! A proste, ale djabelnie, jak on mówi, skuteczne. — A jakież to lekarstwo? — Trzeba nosić na piersiach połeć tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał. — Ależ to ciężko — powiedział któryś. — Ciężko, ciężko, ale zdrowo! Tedy zawołał mnie ksiądz gwardjan i rzekł: — Jedź, waszeć, księże Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele bernardynów, niechże nas ratują. A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze: — Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktór kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! Szczególniej imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych! Zato cały nasz konwent i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie! Niektórzy panowie szlachta kręcili głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie! Ale jednakże nazajutrz siostrzyczki jak za-

częły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinji w głowie Marcina, opowiedziałem mu mój podział jarząbków.

— No, cóż na to, Marcinie?

— Niema co powiedzieć — rzekł on, kręcąc głową — masz jegomość olej. Ale komparacja [1]) jegomościnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego pieroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj jegomość, czego bardziej bernardynom potrzeba?

Wtem dropiaty zawrócił do dworku blisko gościńca.

XX.

Na dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur, kaczek i indyków.

— Nie byłem tu ani razu — rzekł Marcin — ale widać, że tu dobra gospodyni mieszka. Pół roku cały klasztor wykarmiłby się tem ptactwem. No, dajże Boże jegomości szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas.

Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni, posłyszałem cienkie ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biedę,
Zamąż sobie idę.

Zatrzymałem się trochę dla pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdoweńka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biedę,
Zamąż sobie idę.

Poznałem wraz, co się święci, i wszedłem do izby. Na środku stał długi stół, nakryty dywanem, a za nim

[1]) Porównanie.

siedziała imość, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku nabakier, z oczkami trochę zachmurzonemi i noskiem zaczerwienionym.

— A! Ksiądz kwestarz dobrodziej! A! Na wieki wieków! — I przytrzymując się za stół, chciała powstać.

— Widzi jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi. Siadajże jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla jegomościa, mam! A może i dwóch! Zobaczymy tylko, zobaczymy! Bieda, powiem jegomości! Bez gospodarza chata płacze! Już to trzeci raz owdowiałam. Folwarczek niczego. I to nie na dożywocie, nie! Moja własna właściwość, bo nieboszczyk mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej! A tej klępie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa jednego przemówić. Zmordowała się jednak, czy też języczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodzika? — zapytałem w niepewności, słysząc, że klępą nazwała panienkę, która stała za jej krzesłem.

— A tak, córeczka, córeczka. A cóż z tego, że córeczka? O niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby zamąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wolała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to, czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mota, a o matulce ani pomyśli.

Wtem i podwieczorek przyniesiono.

— Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafji [1]) trochę zażywam. W ręce!

Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę.

— Proszę! Niewytwornie, ale pokornie!

Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun jej nogi poplątał.

---

[1]) Słodka wódka.

— Otóż mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moją tabaczkę. Jegomościa dobrodzieja z tomką, a ja dodaję potrochu wiśniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat jegomości dobrodziejowi!

Jakiejś ciemięrzycy baba mi podała, bo paliłem z nosa jak z pistoleta, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! Bo każdy mię kochał i szanował!

— Za pierwszego poszłam młodziuteńka! Jeszcze dziecko byłam, powiadam jegomości dobrodziejowi. Ale i on był jak dziecko. Lecz że z godnej familji i miał ten folwareczek, a ja posagu pasz! więc mnie rodzice za niego wydali! A on wraz całą swą majętność mnie zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu, słuchał, co ja rozkażę! Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu! A choć go bywało i szturchnę, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojej na folwarku! Umarł, zostawiwszy mi na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! Co ja napłakałam się po nim! Co ja napłakałam się! Skosztujemy ratafji, księże kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że mnie młodej wdowieć nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie półwieczny jegomość, ale gospodarz zawołany. I jak zaczął radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, a molestować, poszłam z nim na kobierzec. Oj! Gdybym nogę wtenczas złamała. Bo ten pan był, prawda, gospodarz, ale śledziennik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek [1]), stać przy piecu z założonemi rękami! A jegomość rządził i dysponował, jak chciał, w mojej fortunie. Wpadłam, mój mości dobrodzieju! Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu! On chce tak, a ja na złość inaczej! On do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomo-

[1]) Prostak, głupiec.

ścia naruszył, i umarł nieboraczek. Oj, co ja się napłakałam!

Sama nie wiedziałam, co począć po jego śmierci? Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy pułk huzarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, koroniarz, bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy się ubierze, a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego kapie! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał! Pułk stał stąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. Długiemi wieczorami jak zawiesi teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską żałośliwą — to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, rozamorowałam się zupełnie! A do tego: — Moja duszko! Mój aniołeczku! — mówił on — będę cię na ręku nosił, będę cię zwierzynką karmił! A jak pojedziemy do moich fortun w Koronie, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! Poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po ślubie szatan go opętał. Jak wrzaśnie nade mną: — Babo, dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje. Ale on nie żartem wrzeszczał: — Babo, dawaj pieniędzy! Czy to ja darmo młodość moją takiej starej babie, szkulepie, zaprzedałem? — I, niedługo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki i zabrał cały zapas po nieboszczyku!

Poszło wszystko świdrem: i pieniążki, i wędlinka, i gorzałeczka! A mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów.

Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mi dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpił dwór cały, a ja pijaństwa cierpieć nie mogę! Przecież niedźwiedź przyszedł mi na ratunek!

Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego. Nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości. I tak umierającego do mnie przywieźli. Ot temu jak raz piąty mie-

siąc. Ach! Co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu, bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak, przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął: — Słuchaj, babo! (choć jegomość dobrodziej widzisz sam, żem ja jeszcze nie baba). Słuchaj, babo! Jeżeli pokrzywdzisz biedną Teresię (co to do niego należało?) — to pamiętaj, że na pierwszym nowiu po ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do ciebie o północy i głowę ci ukręcę. — Czy to może być, mości dobrodzieju, żeby on został upiorem? Jegomość lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy widział jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! Ale przecież ludzie powiadają, że to się zdarza. Jednak bez woli Boskiej nic się nie stanie. Daj, dobrodziko, na msze święte, na egzekwje i na ubogich za jego duszę. A ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy imość ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją zamąż wydać i wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziej, jako osoba duchowna, nie powinieneś w to mieszać się, co do niego nie należy. Już my sobie damy rady bez jegomościa!

Rozsierdziła się babula i uciekłaby ode mnie, gdyby mogła powstać, ale, spróbowawszy razy kilka, usiadła znowu.

— Wiesz co, dobrodziko? — rzekłem — zapijmy tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak! — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropli kieliszek. — Niechaj sobie i tak! A do tego widzisz, wasan dobrodziej, że pan wice-rejent, który tu u mnie bywa, to mądra głowa! On wszystkie statuta na palcach liczy! Powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść zamąż, to córka nie może wyjść pierwej od matki, i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli miknęła zcicha — Oho! ho!

— Co to, waspanna, mikasz? — krzyknęła imość. — Co to, waspanna, mikasz? Mikaj, waspanna, nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała! Co to? Bunty?

— No, dobrodziko, ja nie prawnik. Ze mną rzecz o barany, do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na sukces z czwartym, czwartego.

— Na sukces z czwartym!... At niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo. Kołtun ten przeklęty.

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzemać zaczęła.

— Kołtun ten przeklęty... i głowę i nogi odbiera, i tak coś morzy... morzy... Na sukces z czwartym... czwartego... panna Teresa... i Rzeczpospolita... Upiorem zostanie...

Bredząc tak i mrucząc, baba założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała. A panna Teresa, podziękowawszy za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jej intencję, czterech baranów wydać kazała.

— No — rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali — daj Boże mieć do czynienia ze staremi wdowami.

Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się. Otóż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moją kumę, która króbkę naszą podróżną napakowała wędlinką.

XXI.

W późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty. Lubo z pałacowych okien świeciło się jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zajechać na noc do ekonomji.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny kwerendowałem po całym dworze. Rozglądałem się ciekawie dokoła.

— A tu kto mieszka? — pytałem się masztalerza, wskazując na oficynę.

— Tu starzy słudzy, albo i nie słudzy. Ot byle biedny a poczciwy, to i ma chleb.

— A w tej najdłuższej?

— W tej mieszka nasz pan marszałek. Tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapela. A w oficynie, tej najbliższej od pałacu, same babstwo. Panie, odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare babska, szkulepy. Jak zaczniemy w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode. Uczą się czegoś, kto ich tam wie? A może jegomość dobrodziej naszą stajnię zwiedzi? Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit,* Chrystus *venit!* [1]) — wykrzyknął pan starosta, spostrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. — Dziękuję waści, księże kwestarzu, żeś moją prośbę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencję łacińską na sentencję odkładając, rzekłem:

— *Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus* [2]), lecz ja, stawając tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! Mamy gościa — rzekł do marszałka starosta. — Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić. A na obiady zapraszam go do siebie.

Pan marszałek dworu pana starosty posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, nieśmiały, nie nabrał jeszcze dworskiego szyrmu ani lustru. Drugi całą gębą *homo,* bo i persona, i *eloquentia* [3]), i krotochwilność subtelna, właśnie

[1]) Gość w dom, Bóg w dom.

[2]) Kogo nie proszą, tego za drzwi wynoszą.

[3]) Homo — człowiek, elokwencja — wymowa.

jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobrej widać żyją komitywie. Wypiliśmy razem kawę. Przysłuchiwałem się miłym rozmowom i krotochwilnym żartom, które obaj starsi panowie młodemu prawili. Po kawie poszliśmy do kaplicy.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapela była na chórze. Prawdę mówił masztalerz. Kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła Zdrowaś Marja. Kiedy to ja huknę za niemi basem po bernardyńsku, aż przechyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie, i panięta mile się ukłoniły. Ja zaś poszedłem za księdzem kapelanem, który mnie do siebie zaprosił.

U księdza kapelana relikwiarzami całe ściany zawieszone, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiedział ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościnej. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gawędziliśmy znów mile. I tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek. Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, paru końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz i powiedział mi, że to przyjechał pan Kwetko, mecenas trybunalski, a plenipotent starosty w jego procesach.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego, za wejściem państwa z dziećmi, zasiedliśmy.

Sadzając mnie do obiadu, pan marszałek pokazał mi miejsce samo jedno na samym końcu stołu długiego, naprzeciw pani starościnej, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu — rzekł — miejsce kwestarza, a to twoja porcja — dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem i rozsiadłem się wygodnie. Poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzie indziej posadził, chybiłby zwyczajowi.

Nalał mi wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński chleb powszedni zakrawało.

— Kwestarz powinien być jowjalista, dowcipniś — odezwał się pan Kwetko. — A jeżeli jegomości brak dowcipu, to przyjeżdżaj do nas na trybunał. U nas prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich. Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Tani to rozum — rzekłem — którego za dwa złote można się nauczyć! Gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso!

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? — rzekł starosta. — I ostrzegam, nie zaczepiaj napozór skromnego kwestarza, bo przegrać możesz!

Ale zaufany w swojej mądrości pan Kwetko kiwnął głową i po chwili milczenia zapytał mnie:

— Jakto, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemszalnych, którym głowy już wygolono?

— Nie rozumiem jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No, to powiem, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się pałkuć, od głowy wygolonej jak pałka. A co, nieprawdaż?

— Prawda — rzekłem — tylko, że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje. Ale kiedy jegomość tak biegły w denominacjach, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty?

— Nie wiem.

— No, to cóż już robić? Muszę jegomości przypo-

mnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają kauzyperdą, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam* [1]). I tej wielmożności kauzyperdy jegomości winszuję — dodałem, powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

— Płać dwa złote, płać! — wołał nań starosta.

— Nie mam drobnych — odezwał się, zdobywając się na humor, pan Kwetko.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! — rzekłem. — Wola Pana Boga! Zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! Brawo! — krzyknęli wszyscy. — Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić.

A starosta dodał:

— Mówiłem ci! Nie zaczepiaj kwestarza.

Pan Kwetko, chcąc nie chcąc, zapłacił mi talara, i poszliśmy z ks. kapelanem do jego mieszkania na spoczynek, który trwał aż do nieszpornej godziny. Potem poszedłem na kwestę po dworze. U babulek napodziw się udało. Obdzieliłem je sowito tabaczką bernardynką i jak zacząłem prawić każdej dykteryjki i przypominać różne intencje, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i do rąk mi kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak, że spory mieszek się napełnił.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę:

— Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię nie zatrzymuję. Trzodkę twoją kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomji. Póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JW. panie krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspaniałego dygnitarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

---

[1]) Przegrać sprawę.

Poszedłem pożegnać ks. kapelana. Tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany. Znalazłem w nim asygnację do ekonomji, aby odesłano do klasztoru nieświskiego: „Żyta beczek pięć, słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy i wołów karmnych dwa, a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi, kwestarzowi klasztoru nieświskiego".

Ksiądz kapelan, gdym go żegnał i dziękowałem mu, rzekł mi na pożegnanie:

— Musisz, *charissime,* jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki pozwolenia obdarzenia cię także.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, dokąd przybiegła panienka, a za nią dziewczyna z węzełkiem.

— Mama — mówił ten aniołek — ofiaruje księdzu kwestarzowi do kościoła nieświskiego całe ubranie na mszę św., a ja od siebie ten relikwiarzyk; proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tęż samą intencję ofiaruję, wiele mam — rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Pożegnałem ich nakoniec. Uścisnąłem i pożegnałem ks. kapelana i wszystkich a wszystkich, których napotykałem, mieszkańców tego bogobojnego domu.

— No, jedźmy, Marciniel — rzekłem do mojego furmana.

— A w jakież to ordery jegomość się ubrał? Podobno trochę zaprószył się jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to, bywało, podpije sobie, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów się dómawia. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wytłumaczyłem mu wszystko. Rozwinąłem zawiniątko i znalazłem piękny aparat na mszę. Jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! — rzekłem. — Czy i tego jeszcze tobie za mało?

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę (str. 76).

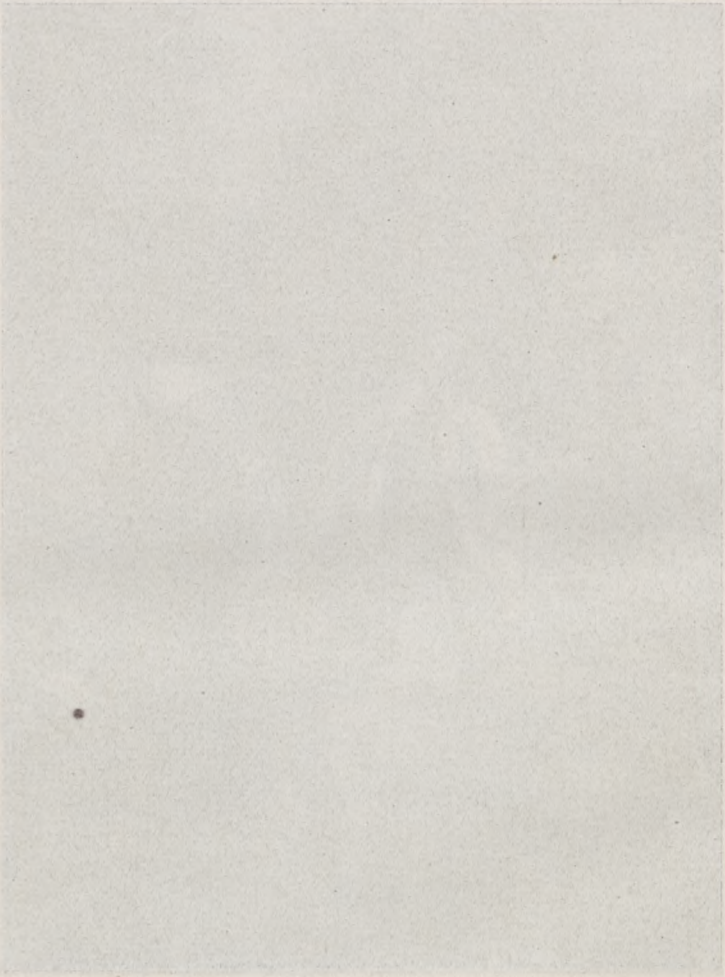

— A cóżto do jegomościa należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie poto nas wysłali. Zakrystja nasza, chwała Bogu, nieuboga, a jak baranów nie zbierzemy, to będzie chuda fara!

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia!

— No, to pójdźmy do ekonomji.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść asygnaty i zapytanie pana podstarościego: wiele mamy baranów? Gdyż pan mu kazał dać drugie tyle.

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki!—powiada Marcin.

— I dziesięciu jeszcze nie mamy! — rzekłem.

— Ja mówiłem, że jegomość zaprószył się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema. Drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszemi, a zboże i woły jutro do Nieświża wyprawię.

Napisałem liścik do mojego księdza gwardjana, oddałem aparaty i relikwiarz do odesłania razem ze zbożem i wyjechałem z tego raju ziemskiego.

XXII.

Wlokąc się spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas. Upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza że słońce dopiekało, roztasowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis* [1]), który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił.

Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derkach. Przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę

[1]) Przypadek fatalny.

owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy i, zdawszy wartę na Pamfila, toż samo, co i ja, uczynił. Trzódka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczułce, a zobaczywszy za nią piękną łączkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę.

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem:

— Marciniel A ty śpiochu przeklęty! Gdzie barany?

Porwał się Marcin.

— Pamfil! — krzyknął, oglądając się na wszystkie strony. — Pamfil! A ty śpiochu przeklęty! Gdzie barany?

Pamfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eljasz i Barabasz odezwały się do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręce. Komenderował on kilku chłopcami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do bliskiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty, popie, proszę uniżenie — wrzasnął, ujrzawszy mnie ten jegomość. — Przywędrowałeś tu spasać moje łąki, proszę uniżenie?

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie. Winien jestem! *Mea culpa,* dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość. Toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

— Piękne zestawienie! — mruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża. My zawołamy prowodyrów, to powrócą na tę stronę.

— A cóżto myślisz, proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto, mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawołać. Byłbym i sam zajechał, ale nie zobaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Eljasz i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzuciły się ku nam, trzoda za niemi. Chłopcy zabiegli im drogę, ale, dostawszy rogiem, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w pomoc naszym walecznym prowodyrom. Pamfil wył i ujadał, barany beczały, myśmy krzyczeli. Gwałt! Zamieszanie!

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbójników! Pokaleczyli mi chłopców! Wara, proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców się uwijał. — Bo cię oplażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie!

Odwołałem Marcina. Eljasz i Barabasz z kilku baranami przeskoczyły do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wola Pana Boga! Ten mnie nagrodzi — rzekłem. — Pojadę nazad po moich dobrodziejach. Opowiem im moją krzywdę. Wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie, zaprzęgaj i zawracaj. Jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego, bo krzywda każda o pomstę do Boga woła, i sumienie spać ci nie da.

— Cóżto, proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! Owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! Ja tylko ostrzegam!

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A naco dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Naco potrzebna? proszę uniżenie. Musi być potrzebna, kiedy się pytam!

— Daj mi już jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko! Napijemy się na ten frasunek i powleczemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin przyniósł flaszeczkę.

— Do ciebie — rzekłem, nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? Zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę, proszę uniżenie?

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A wtem ujrzałem wracające ze dworu moje barany. Pędzili je ci sami chłopcy, a za nimi spostrzegłem imość, i po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy.

— Pogodzimy się, księże kwestarzu, proszę uniżenie!

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem; nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się, mój jegomosteczek? — odezwała się nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Daj, waspan, pokój, wiem o wszystkiem. Proszę darować tę mitręgę, księże kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wie, co robi. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Co waspan bałamucisz? Gdzie pokaleczeni? Gdzie szkoda?

— Szkodę — rzekłem — Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot, widzisz waspan, aż miło słuchać! Ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa robisz. Ja, wątpiąc, czy jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich,

przypomniał jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Dziękuję dobrodzice za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na prowodyra, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani. A teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno wracać do klasztoru.

— Ot, widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! Nie unoś się, proszę uniżenie! Dalibóg wyspowiadam się w środę.

— Da, milcz, waspan!

Odeszli. Patrząc za nimi i pokręcając głową — *hic mulier* — rzekłem. A Marcin obok mnie, kręcąc także głową: — Szwed baba! — rzekł. Wytłumaczył więc regularnie moją łacinę, i ruszyliśmy dalej.

Pod wieczór wjechaliśmy triumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie, a poznając swoją stajnię.

— *Salve frater amatissime!* [1]) Ot, co jest! — wykrzyknął ks. gwardjan, witając mnie na ganku i ściskając po przyjacielsku.

A ojcowie pozdrowili mnie chórem.

— Czekałem cię, jak kania deszczu — rzekł ksiądz gwardjan. — Rozumiałem, żeś gdzieś znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Baranów jak gwiazd! Ot, co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie, Ot, co jest!

XXIII.

Mieszkałem już od dwóch lat w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wie-

[1]) Witaj, bracie najukochańszy!

ści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

Do klasztoru hurmem szły nowiny. Z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzień wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkiem, co słychać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny.

Nakoniec jednego ranka, gdym był u księdza kustosza, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, sąsiad klasztoru, i krzyknął:

— Tatuleńku! Już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? Czy pewnie?

— A najpewniej! Wczoraj moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie i na swoje oczy widzieli kurjera, który wpadł tam na bal nawet, doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem, i niema sekretu.

Napiliśmy się po razie.

— Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? Jedno z drugiem nic. Siedzieć cicho w klasztorze, modlić się i przychować ważniejsze *preciosa* [1]) kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do ichmościów.

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... dlaczego... Ot, mówiłem jegomości, dla wszystkiego... A kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciczej i jąkając się. — Powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły obdzierają!...

— Jakto być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Jużto, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku. Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna królem rzymskim ogłosił! Zresztą, rób, jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejdę, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

---

[1]) Kosztowności.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na naradę. Przyszedł, opierając się na kiju, staruszek ksiądz definitor, mój najpierwszy gwardjan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiem i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie zasługi w zakonie i mądrą głowę. W ważniejszych sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincjałem. Na starość obrał sobie rezydencję w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszem, które ja za niewolę babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna.

Zebranym patrom opowiedział ks. kustosz nowinę.

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła. Ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł:

— *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on. — Być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot, co jest! Wątpię jednak, aby w mieście pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż nie został. To i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot, co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu, a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot, co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze.

To było we środę dnia 12 czerwca.

We czwartek ruch wielki! Pułki coraz nowe przechodziły przez miasto. Za Zielony Most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniej szerzyła się. Do klasztoru naznoszono kuferków i lokowano je na strychach.

W piątek, to jest 14 czerwca, cesarz Aleksander opuścił miasto...

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarasowano, okienice w oknach od ulicy zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli, jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylazł na szpiegi. Ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami.

Nadeszła nakoniec niedziela 28 czerwca, której nigdy nie zapomnę. Ujrzałem razem z całem Wilnem potentata, Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.

XXIV.

Mój ksiądz definitor miał dwie cele. I ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety i tłumaczył mi, bywało, wszystko, co tam stało, ale ja, niewielki politykus, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięstwach, o wielkich czynach, o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz, bywało, i śniło się podobno wszystkim o Bonaparcie! To i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec.

— Nie umrę, bracie Michale — mówił on — nim go nie zobaczę. Ot, co jest!

I zgadł, jak prorok: zobaczył go i umarł.

Wysłali bracia mnie na szpiegi do miasta.

Żołnierz podał mu papier, zatknięty na bagnecie (str. 82).

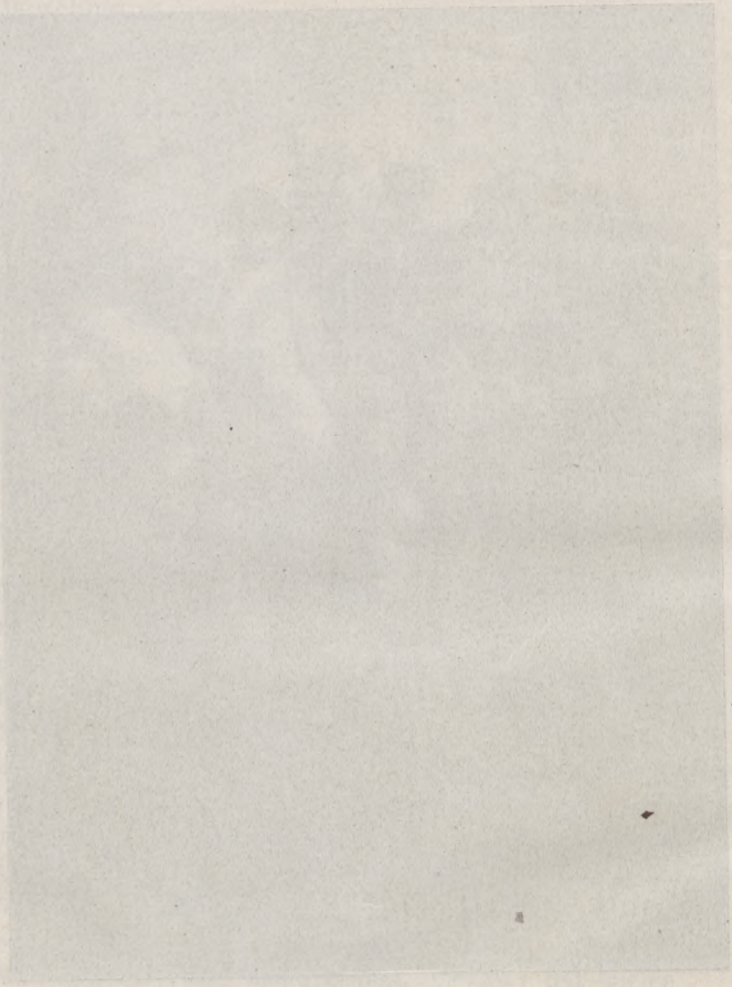

— Bracie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział — bracie Michale! Musisz mię tam zaprowadzić, abym go zobaczył! Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot, co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie! — dodał — bo codzień słabieję... a nie umrę... — mruczał dalej, jakby sam sobie starzec — nim go nie zobaczę.

Przyrzekłem więc memu ukochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do furty Ś-to Jańskiej.

— Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku — odpowiedział pater, gdym mu trudność objawił — prowadź mię, bracie! Bo nie umrę, nim go nie zobaczę, ot, co jest!

Poprowadziłem go więc dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę W klasztorze ledwo przez korytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to z pomocą mojego ramienia. Teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na schodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam *charissime?* — zapytał on.

— O tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników [1]), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardji, z nabitą i podniesioną bronią; potem na siwym lub myszowatym koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem [2]), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową [3]) na piersiach, w kapeluszu niemieckim dwurożnym: *On!* Potem generałów i różnych asystentów,

[1]) *Guides,* przyboczna straż Napoleona.

[2]) Mundur pułkownika strzelców konnych gwardji. Długie jego poły na końcu wyłogów ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytemi, jako symbolem sławy.

[3]) Wielka gwiazda orderu legji honorowej.

całych we złocie i srebrze, tłuszcza! Nakoniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardji i tyluż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kawalkatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny. Był to znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić miejsce na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy... Chwycił on mię za rękę i, trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem:

— To *On!* Ot, co jest! *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dlaczego on tu stoi? Gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok naprzód i sprezentował broń. Cesarz się zatrzymał. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma interes? Żołnierz podał mu papier, zatknięty na bagnecie. Bonaparte przeczytał. We środku było jeszcze kilka innych papierów, te przeglądał. Mówił znowu z żołnierzem. Nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów; gdy ten się zbliżył, wziął odeń krzyż z piersi a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz:— *Wiwlamperer!* — a to znaczy: wiwat cesarz — jak mi ksiądz definitor wytłumaczył. Ujrzeliśmy tego wąsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak warjat, całował krzyż swój, a łzy przecież ocierał, i śmiał się, ściskał zgromadzonych około niego kamratów i nareszcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. Ale ks. definitor stał jak osłupiały, aż się przeląkłem.

— Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot, co jest!

— Idźmy — powtórzyłem.

— Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętywując się.

Ale ledwo nogami mógł sunąć, i z pół godziny wlekliśmy się do klasztoru.

XXV.

Na trzeci dzień po owem naszem oglądaniu cesarza Bonapartego rzekł staruszek do mnie:

— Bracie Michale! Codzień słabieję i bodaj dziś umrę. Ot, co jest! Poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy! Nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot, co jest—bieda mi z tobą!—rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale, przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot, co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławię cię, synu mój! — rzekł on. — Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdzie: On nas połączy... Ot, co jest! Idź, bracie, po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramenta na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza i za jego dozwoleniem rozdysponował swoją ruchomostkę.

— Rób, co chcesz, *reverendissime*—rzekł ks. kustosz.— Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak prędko umrzeć!

— Stanie się, jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! Ot, co jest! A tymczasem, za twojem dozwoleniem, niech tak będzie. Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich a włoży na swoje piersi, a własny niech mi wzamian da do trumny.

*

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty! — ozwał się ks. kustosz. — Ziarnka koronki ze słoniowej kości! Warto, aby ozdabiał pierś zasłużonego w zakonie, równego w powadze tobie samemu, ojcze!

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości, i z pamiątki, i z wartości nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako wotum za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego. Zresztą — dodałem — zapomniałeś może, ojcze, że i ten krzyż, który noszę jest darem twoim.

— Nie, nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot, co jest? Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nieprawdaż, ks. kustoszu? Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Radziwiłła, kasztelana, za mowę przy ślubie jego z Chodkiewiczówną. Zacny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi zobaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime!* — oddaję ci go jako depozyt i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go sprzedał, albo, zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moją duszę. — Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki, tobie więc należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot, co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacjach. Szafę z książkami odnieście do bibljoteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest własnością klasztorną. Ot, co jest! i po wszystkiem.

XXVI.

Wieczorem zasłabł mocno nieborak. W nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląkłem.

— A cóżto, bracie? Rozumiesz, żem upiór? — rzekł, widząc moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot, co jest! Po drodze zastukamy do brata zakrystjana, obudzimy go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez chór.

— Ależ, mój ojcze! Kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniał.

Więc prowadziłem starca przez ciemne korytarze. Stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przebudzenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni, lampa tylko na środku wisząca migała bladem światełkiem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania i złożył na ołtarzu.

— Dzięki tobie, bracie! — rzekł do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej? A toż ta sama chwila północna po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuistej. Ot, co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza. Ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania...

Tymczasem brat zakrystjan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę i spostrzegłem ich w cieniu jak mary klęczące, które lampa, kiedy niekiedy migając, oświeciła... Mrowie mię jakieś przebiegło... Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie zaszkodziło i biorąc go pod ręce, rzekłem:

— Wstań, ojcze!...

O Boże! już nie żył! Przerażony, krzyknąłem.

Ksiądz kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uśpiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed Jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdym w życiu nie płakał! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem i wszyscy znowu poklękali. *Requiem aeternam dona ei Domine!* [1]) rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... Ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migała po całunie.

XXVII.

Po śmierci mego dobrodzieja jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory, bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał żadnemi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! Grzech jest tak srodze poddawać

---

[1]) Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

się żalowi, jest to sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz miłość jego dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię stąd dla własnego twego dobra. W klasztorze naszym bienickim [1]) potrzebują kwestarza. Ks. prowincjał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) naznacza tam ciebie. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tem twoja wesprze tamtejszą niebogatą kongregację. Sęk tylko w tem, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę, bobyś i miasta nie przejechał, a miałbyś już towarzyszów na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Niema nad czem myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawiałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych bryczkach odjeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Wziąłem tylko jednego dukata i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabakierki, pod tabaką go ukrywszy.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, wyruszywszy za swojem wojskiem, które jak powódź popłynęło ku Dźwinie. Ale po wszystkich traktach wlokło się żołdactwo i pomimo srogich zakazów rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i o kilka mil w głąb kraju, splondrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć

---

[1]) Bienica — miasteczko i klasztor księży bernardynów w powiecie oszmiańskim.

na pola zbożami okryte. Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech Francuzów. Idą obok mnie. Spoglądamy na siebie. Idziemy aż pod Niemieżę. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają. Między czterema, choć jeden może umie po łacinie? Rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio* [1]).

Spojrzeli po sobie i znowu do mnie po francusku.

— *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum. Bienitiam proficiscor* — powiadam [2]).

— B o n, b o n, s e b o n — odezwali się; a potem bez ceremonji dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już. — Pieniędzy tu niema! — i podałem kluczyk.

— B o n, b o n, s e b o n — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery i, nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znów kałamarzyk na plecach i rozumiałem, że już między nami kwita.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielęcinki, to jest tłomoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku, i po łacinie:—*Non possum, senex et debilis sum!* [3]) — A oni swoje! — B o n, b o n, s e b o n! M a s z y r k a m r a t, m a s z y r! — I przy tej perswazji, pokazując mi bagnet, przekonali mnie zupełnie tak, że dźwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłomoki,

---

[1]) Nie rozumiem po francusku, mów do mnie po łacinie!

[2]) Jestem kwestarzem z klasztoru bernardynów w Wilnie.

[3]) Nie mogę. Jestem stary i zgrzybiały!

aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś Judasze dopadli staruszki! Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami. A oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: — M a s z y r k a m r a t!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu, i oni koło mnie. Dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją! A jak poczną czchać, to ja krzyczę: — *Vivat!* — A oni w śmiech, i — b o n k a m r a t! — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście — myślę — ale zgadnijcież! Oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy komitywie, ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują.

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebanja bez okien. Kościół stoi otworem i spustoszony. Sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich triumf. Cel, pal, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłomoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moją odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to dlatego, abym nie uciekał.

— Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą!

Rozłożono więc ogień w ogródku wiśniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się i wrzeszczą:

— K l e b a! k l e b a!

— A skąd ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie — Niema kleba!

— Niema kleba! — powtórzyli żałośnie i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko doreszty, a za całą zdobycz wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: — Niema kleba. — Aha, niema kleba! — odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż była moja rozpacz, gdym spostrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych Herodów drze moje zapiski i pod drewka podkłada, aby się lepiej paliły! Wyrwałem mu skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzał on mi w oczy z zadziwieniem i złością, nareszcie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja, widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spojrzał on znowu na mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrucząc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ściskać, całować, ledwo mnie nie udusili; klaskali po ramieniu.

— Bon, bon, se bon! Vivat kamrat!

— Ha! — pomyślałem sobie. — Ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność! Jakże to dziwne, że rabują i palą! Jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zato smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali sup, znaczy się zupa, którą zgotowali. Jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszem miejscu i dali srebrną

łyżkę z herbem Kościesza, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy się po posiłku zabierali w dalszą podróż, spostrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłomoki, a moją pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalji nie dać powodu. Poznawszy moją wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę i nie chciałem na to przyzwolić, ale on nie uważał na moje protestacje, i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszem zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata i okazałem każdemu w oczy... Spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów.

— Bon! bon kamrat! — krzyczeli, a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców dominikanów, którzy mię przyjęli serdecznie. Nazajutrz z bliskim sąsiadem z Bienicy, panem Szczepanowiczem, pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

XXVIII.

Pan pisarz, wielki *gadativus,* prawił mi w drodze rozmaite historje. Między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem, co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencji? — zapytał mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół?

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było. Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej na Litwie rodziny Kociełłów. Jeden tedy z ich antenatów powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w Mołodecznie. Przelęknione czegoś tam w drodze konie uniosły go, wzięły na kieł i leciały jak szalone. Cugle pękły, stangret spadł z kozła, a pan Kociełł, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła mu myśl, od Boga widać natchniona, uczynić jakieś pobożne wotum. Postanawia więc wymurować kościół na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta, jak błyskawica, przemknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką wtył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, ponowił wotum, i we dwa lata na tem samem miejscu, gdzie mu Bóg życie zachował, słuchał mszy świętej.

Mało na tem, mości dobrodzieju! Pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi grób osobny i, przeżywszy Matuzalowe lata, tam się położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi. Nawet na każdym worku pozaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował. Portret obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? Gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne, że obraz ten prze-

nieść on rozkazuje do kościoła i umieścić na ścianie nad jego grobem, że sumy na workach oznaczone są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej ruinie. Lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytemi nie były, sam zatem ich strzec postanowił i dlatego w grobie własnym one pieniądze zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom ich nie da.

Otóż przed laty kilkudziesięciu spalił się dach na klasztorze bienickim. A był natenczas gwardjanem świątobliwy i przykładny kapłan. On tedy osądził, że właśnie stał się przypadek naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych egzekwjach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej płyty marmurowej, pokrywającej grób pana Kocielła. A że nie chciano rozgłaszać tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie po skórze wszystkim przechodziło, i robota szła niesporo. Ks. gwardjan modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłumacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kocielła, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drągi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardjan, chcąc zajrzeć w głąb... Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i porysował się na kilka części... A nadobitkę, w tym samym momencie ogromny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kocielł nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał i miał rację, bo klasztor, to nie kościół, mospanie! A nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!* Otóż jak przyjdziesz do Bienicy, możesz zobaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swojem miejscu. Kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz spostrzeżono, i którą, chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.

Gwardjan nasz w Bienicy był niegdyś profesorem *infimy*[1]) w Cytowianach, naco niewiele potrzeba *sapientiae*[2]). Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno i mówił szybko, cienko, jakby lekcję recytując:

Salve, bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź, zaraz, kwestuj, zbieraj, proś! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był profesorem *infimy* w Cytowianach, zjadałem pierogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo*[3]). Jedź, bierz, co ci dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź.

— A na czemże pojadę, kiedy wszystkie pozabierali?

— Zostawili jednego swego harharę. Osedniony i chudy, ale pod wierzchem dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jakże tu kwestować — powiadam — gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł!

— Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami,

---

[1]) Infima — najniższa klasa ówczesnych szkół.

[2]) Sapientia — mądrość.

[3]) Chleba naszego powszedniego nie mam.

błotami, jedź, dojeżdżaj, gdzie można... Prowodyra schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! Jedź!

Widziałem, że nic nie poczną z moim głodnym gwardjanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz urządziwszy, jak mogąc, kałamaszkę, i założywszy owego wielkiego kusego konia, zjechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! — wołał na mnie z okna poczciwy profesor infimy.

— Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Coż poczną z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?

— A skądże wziąć innego? Ten, co był i woził brata Placyda, zamłodu traktował żołnierkę. Postrzelony jak sito i pokiereszowany, przywlókł się tu, nie wiem skąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu, do śmierci. Chłopak twój, choć mały, ale sprytny. Trzymaj go tylko w subordynacji! Bo kiedy byłem profesorem infimy w Cytowianach, to to bywało *corona asinorum* [1]) na głowę i wnet żaki *szarf!* Razu jednego...

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! Vale!* — i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź! jedź! bratunieczku! Błogosławię i oczekuję! Ratuj!

Pojechałem.

XXIX.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnu, i kilka baranów wlekło się za prowodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet, dwór to

[1]) Ośla czapka.

był bowiem starosty, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo poumierało, że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop? — razem wymówili. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał i nikt nie bronił wejścia. Niegdyś wejście do tego pałacu nie było bronione dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożeś tu był kiedy?

— Byłem i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem znacznego, wspaniałego i bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, ale widać, że go tu niema! A zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!* Niech będzie pochwalony!

— Stój! księże! — rzekł, powstając od stołu i rzucając karty, mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym. — Jam jest syn starosty i gospodarz tego domu...

— Tak, tak — dodał jakiś podpity kompan — to nasz pułkownik, hrabia... Czołem, panie! Bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem — bo trzymasz kielich pełny, a sam jużeś się tęgo, jak widzę, zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go zato, to jest oddaj mu swoją szklankę.

— Imaginuj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił (str. 102).

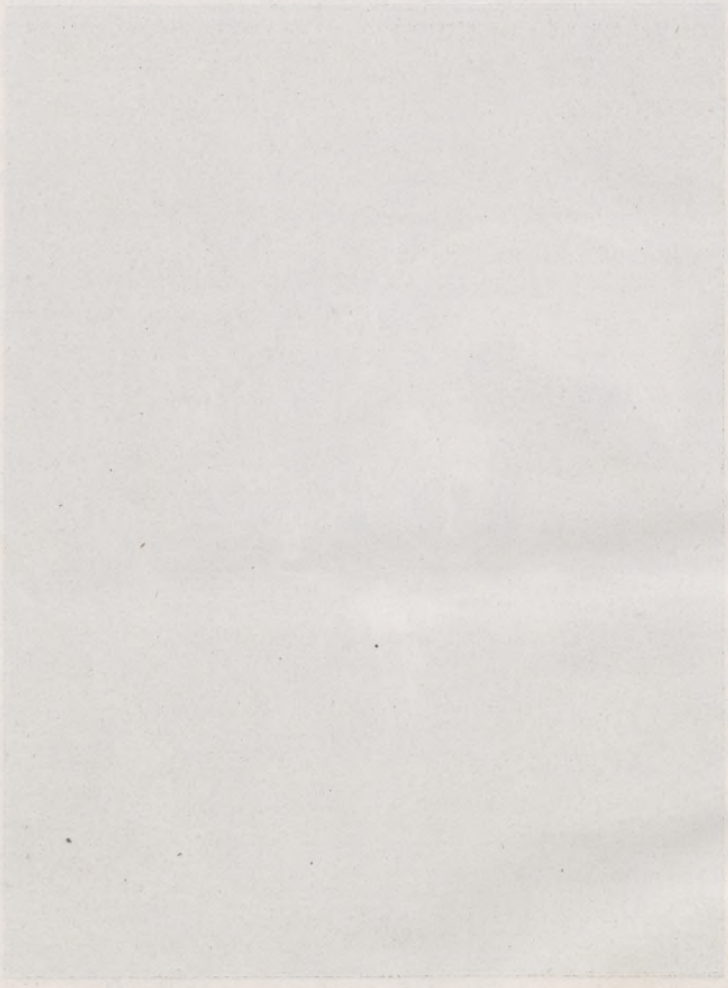

Odsunąłem podawaną szlankę, a w milczeniu patrzyłem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem, powiadasz?

— Znałem, znałem cię! Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz...

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju! — rzekłem — gdybyś mi i całe złoto, którę widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat.

Wtem wszedł lokaj i zawołał: — Wieczerza!

— Proszę — rzekł starościc — do kompanji i ciebie, księże! Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwudziestu z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z któremi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszły mi łzami.

— Cóż milczysz? Zarwę cię z teologji. Powiedz mi, gdzie dusza siedzi? — zagadnął mnie jeden z obecnych.

Obudziłem się jak ze snu. — A wspomóż-że mię, Panie! — pomyślałem — skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza — odpowiedziałem — który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spojrzeli po sobie, a pytający krzyknął.

— Słuchaj, popie! Ostrożnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę!

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd, księże? — rzekł starościc, czy pułkownik, jak go nazywano. — W moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się sampana — siedź i pij. Nie umiesz teologji, i dlatego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? Dowiedz mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci

dziesięć baranów dać każę! Albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomji niema.

— Dobrodzieju! — rzekłem do starościca. — Dziś nam wszystkim nie do dysput, a tem bardziej w takiej ważnej materji. Jutro odpowiem na kwestję pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra nasz zakład — rzekł starościc.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światełko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się zawróciłem.

XXX.

— *Ave Maria gratiae...* — posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: — *Sancta Maria, Mater Dei...* [1]).

— A! — pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce. Przy jednym stała trzcina z srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za towarzysza do koronki i trzeciego starca do kompanji?

— *Cum apertis manibus* [2]) — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach i, zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się

[1]) Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna i t. d.

[2]) Z otwartemi rękami!

w witającego mię jegomościa — że oglądam, a oglądam z pociechą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak—odpowiedział, pokręcając siwego wąsa.— Poznaję, przypominam. Był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk co rok wyglądał, który Kwetkę skonfundował gracko...

— Ten sam — przerwałem — ten sam! — I obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najserdeczniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty.

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo pamiętał on o mnie w swym testamencie. Daj mu, Boże, niebo!

— Widziałem i jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go pułkownikiem nazywają, i hrabią nawet.

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek:

— W pałacu Sodoma i Gomora.

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale skądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Nasz starościc! Już to on, widać, pod taką urodził się gwiazdą!

— A u wasana wszystko konstelacje, same aspekta niebieskie i horoskopy w głowie! — przerwał chorąży.

— A jużci też pewniejsze moje aspekta — odpowiedział z gniewem marszałek — niż waspana apokalipsy. Teraźniejsza kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież, jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna! A czy nie prawda? Czy niema wojny i biedy?

— Tak! Ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nieprawda! Mówiłem tylko, że i Turki będą w robocie.

A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon. W którą stronę...

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie i zcicha mi powiadał:

— Ma... ma...

Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie:

— Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłumaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w Apokalipsie.

— Winszuję — przerwał, śmiejąc się, marszałek.

— Wolno śmiać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się! Ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Apolion,* anioł przepaści, jest to *Napoleon.* Różnica o literę nic nie znaczy.

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo uż to pewnie otworzył). „I oto ukazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dano mu koronę, i wyszedł, zwyciężając, aby zwyciężył“ [1]). Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem — sam go na białym koniu widziałem! A ma go, jak mi powiedziano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek — o to, to, to, widzisz, waspan, z Egiptu, z pod Babilonji, „i dano mu koronę, i wyszedł, zwyciężając“. Jak nie wstyd nie wierzyć? — A w drugiem miejscu znowu co pisze: „I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały (znowu koń biały, widzisz, waspan), a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy“. Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuły.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz, waspan, żywego świadka.

---

[1]) *Apocalipsis* świętego Jana, rozdział VI:

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! Niechże cię bestja o siedmiu głowach połknie! Dalej tak stoi: „I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ognistel“ Cóżto, mospanie, i wątpić? Sami widzieliśmy, jak onegdaj przyjeżdżał do naszego pana pułkownika zbrojny rycerz w pancerzu ognistym i z włosistym ogonem na głowie...

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek.

— No, to cóż? — odpowiedział, zakłopotany nieco, chorąży. — Sądźże sam, księże kwestarzu, czy to nie widoczne? Czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą i pójdzie swoją drogą. Niema z nim biedy. Ale co będzie, kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog* [1]) nadejdą?...

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w Apokalipsie nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tem się sprawię— rzekł staruszek, biegnąc do alkierzyka po Biblję.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił zcicha:

— Ma... ma... tu... ma!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblją.

— Dobrodzieje, wiecie co? — rzekłem. — Oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalimy Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestje i smoki.

Spojrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblję na stole. Obaj ucałowali krzyżyki, wiszące przy ko-

---

[1]) Złe duchy, demony, wymieniane w Apokalipsie.

ronkach, i obaj usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci, zgromione w swawoli.

— Na którejże tajemnicy przestaliśmy, panie chorąży? — zapytał marszałek.

— Na ósmem *Ave Maria,* tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

— *Ave Maria gratiae plena...* — rozpoczął zatem nabożnie marszałek. — *Sancta Maria, Mater Dei...* — odpowiedzieliśmy i dokończyliśmy koronki, po której posłałem sobie na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układł, spojrzał przez okno na kometę, a rezydent Biblję pod głowę podłożył.

XXXI.

Obudziłem się. Moi gospodarze wstali wcześniej i obaj siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę, i rozmawiali z sobą pocichu, aby mnie nie rozbudzić.

— Imaginuj sobie, wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon się po ziemi wlókł. Na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił. Kiedy to huknie: — Za-pa-dasz! za-pa-dasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę, zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś korpus pod łóżkiem, bo płótno pękło doreszty, i ja z piernatem zapadłem. No, proszę uniżenie, powiedz, waspan, skąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe?

— Ekstraordynaryjna rzecz! panie Sebastjanie! Ekstraordynaryjna rzecz! — odpowiedział rezydent — tem bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie, wasan, śni mi się, że wychodzi z morza bestja ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsła się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nic nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł,

ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta bestja, chrapie na całą izbę. No, proszę uniżenie, pytam waspana, jakimto sposobem z kwestarza zrobiła się bestja?

— Sen mara! — rzekłem, powstając. — Dzień dobry dobrodziejom.

Nie wspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i — na co wola? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

— Można jedno drugiem zapić — odpowiedziałem.

— Wyśmieniciel Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz, jegomość — mówił rezydent — niema kawiarni wspólnej, jak dawniej, więc pan Sebastjan, większej ode mnie fortuny, kupuje sobie kawkę, a ja piwko popijam.

Po śniadaniu podwójnem wyszliśmy na przechadzkę po dworze. Ruina wszędzie, aż przykro patrzeć!

Tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła, a za nim kilku wczorajszych towarzyszy.

— Dzień dobry! — zawołał on, spostrzegłszy mnie. — A chodź-no tu, księże kwestarzu!

Podszedłem do ganku i spostrzegłem, że starościc blady i smutny, jakby niewyspany, czy chory? Sam nie wiem, dlaczego zapytałem:

— Czy nie chory JW. pan?

— Dlaczego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju.

— W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Ledwom zmrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszydła jakieś, mary. Zrywałem się, odzyskiwałem pamięć i znowu zasypiałem. Pod dzień dopiero spokojniej zasnąłem.

Starościc stał zadumany.

— Nauka to — odezwał się wczorajszy kropiący jegomość — że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi,

a węgierskie rzuca. Pan zaś wczoraj, po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jakgdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Cha! cha! cha! Czy źle sny tłumaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłumaczysz, bo także dziwny — powiadam.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się starościc.

— Mów! — odezwali się wszyscy. — Słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem — nie wiem! Nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział, bo sami zczasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A skąd ta pewność, popie — przerwał tłumacz snów — że my tam będziemy?

— Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że, przeglądając kotły, w których smażą się potępieńcy w smole, jak pączki w oleju, posłyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie! — Obejrzę się, kto tu mój znajomy? Aż spostrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole. — Ach, dobrodziejul — rzekłem. — Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie? — Za syna mojego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził! A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem, umierając, dziecko moje. Cokolwiek on teraz zbroi, albo zbluźni, spada to wszystko na moją i na ich głowy, a zamiast kropel ochłody, któreby na mnie z jego cnót spływały, dolewa on mi codzień po garncu gorącej smoły...

— Łżesz, księże! — przerwał mi pułkownik, rzucając fajkę — kłamiesz niedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? W niebie? A więc miał duszę?...

— Wygrałeś zakład — przerwał starościc, uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegraną.

— Brawo, kwestarz! — zawołali towarzysze. — Brawo!

— Prawda! — rzekłem. — Klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz (str. 109).

— Ale to mało na tem, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza, a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spojrzeli po sobie wszyscy, roześmieli się, i każdy do kieski. Starościć dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli. I tak odrazu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł mi:

— Bracie kwestarzu! nie zapomnę twej tu bytności z wielu przyczyn i względów. Jeżeli mnie kule oszczędzą (bo nie myśl, ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie. Wszystko się jeszcze odmienić i poprawić może. Bóg nam natenczas inne sny, pomyślniejsze zapewne, zesłać raczy.

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

Pożegnałem potem poczciwych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornej gorzałki, a rezydent ze swej śpiżarni szczupaka wędzonego na zakąskę, i ruszyłem, zawracając ku domowi.

XXXII.

Zakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony, że nosy maroderów na tabakę s e b o n! ale kruszczu pod nią zwietrzyć nie mogą, i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu profesorowi *infimy*.

— Już blisko Bienica — rzekł Jaś, wiozący mnie — tylko półtory mili. To Łostaje. Tu na Łostai mieszkają Tatarzy. My tu często, bywało, z tatulem na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha! — pomyślałem sobie. — Niema poco do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy dworek, g dygospodarz, powracający z pola, spotkał nas przed swojemi wrotami i — stój! — zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg! — zacząłem z nałogu, dokończyłem, spostrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie! — odpowiedział, uśmiechając się. — A dlaczegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? Boś pewnie z Bienicy?

— Śpieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicjusz w tych stronach, bo cię nie znam! A nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułmanin zamknie ci wrota, albo ci powie: fora ze dwora! Mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzimy się o wiarę, a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej Witołdówki, a zobaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Czas obiadu zbliżał się, wzmógł się apetyt, a jak na licho lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młóda źrebięcinka uchodzi podobno; ale jednak niebardzo temu wierząc i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota dworku pana majora Amurata Bielaka.

— Hej, Ajeszko! — zawołał on, wchodząc do sieni. Na to wybiegła w jubce tarlatanowej młoda i, jak na Tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, spostrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka — rzekł pan major. — Nie lękaj się, córko! Mamy, widzisz, gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rondla. A tymczasem napijemy się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu; ale o wódeczce w Alkaranie cyt! A zatem my winu dajemy kwit, a wódeczkę i luleczkę ciągniemy sobie po troszeczku. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu klauzura, a po naszemu harem.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się! Doświadczyliśmy, że z jedną kobietą często trudno dojść ładu, cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancja mojej córki i nic więcej. A jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana Amurata. Pierwsza obszerna, stół dębowy na środku, zydle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tem zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co! kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, Kara Mirzy, który długo wojując z Litwą, nakoniec, gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witoldowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a Kara Mirza, nasz przodek, dostał tu na Łostai ziemię. I książę nazwał go Bielakiem naprzeciw imienia Kara, co znaczy w naszym języku czarny. Służył mu potem Bielak w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterystu, a może i więcej. Plemię tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią, jemu nadaną, i łuk ten jego. Z głowy na głowę dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miljony nie odda.

Weszła panna Ajesza z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite kołduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu. Pan major jakby tego nie widział. A po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy obaj spać do stodoły, i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostajach nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! Zawitali oni do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień! Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście, codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie. Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! W odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków z czem kto miał: z fuzją, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu. Zatrzymali się. Patrzyliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali, a my nie ruszyliśmy się z miejsca, czekając, aż całym taborem wejdą w ciasną, tę, co widzisz, wygrodzoną ulicę, i pominą moją zasadzkę, w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i ruszyli ku nam.

— Russ? — zawołali, podnosząc karabiny.

— Tatar — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały na temblakach na rękach.

Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzje na plecy, pistolety z za pasa i hajże ku nim! Razem gwizdnąłem przeraźliwie, rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu.

Wrzasnąłem — *Pardon!* albo *caput!* — A gdyby który palcem tylko kiwnął, kulę miałby w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka poddali się, i batalja wygrana! Zabraliśmy cały obóz i broń, a samych rycerzy dostawiłem do Oszmiany. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięsko wyszliśmy. W jednym z nich, moją damascenką, uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwe i dla waści, księżulu, bo ci barana dać mogę.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem — ową damascenkę, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Skądże to bernardynowi sympatja do pałasza?

— Aj, bo niegdyś, jako szlachcic, przy boku go nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesja po ojcu, jenerale Bielaku. Wart być obok łuku Kara Mirzy, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda! — rzekłem. — Klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział. — Takie pałasze nosimy przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły, a on rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to klinga! Szlachecka mowa i głowa — to furdyment!

Wtem mołna zawołał na meczecie. Pan Amurat szedł na modlitwę. Pożegnaliśmy się więc do szczęśliwego obaczenia.

XXXIII.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego muzułmana. — Półtorej mili przebędę łatwo — myślałem sobie — jedna tylko będzie ciężka rappa, to jest kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam s e b o n

kamrat! Ta jedna chwila całej kwesty, a szczególniej baranów, pozbawić mnie może. Co do złotka — myślałem — zjedzą djabła.

Powstając więc na kałamaszce, rozpatrywałem pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcie zdrowe barany!

Jakoż wnet, w moich oczach, prowodyr i kilka przy nim legło na placu, pod bagnetami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go Jonasz. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych prowodyrów i częstokroć to tylko jedyni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali i jedyni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizja kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!* [1]) — krzyczałem; ale ci, zapalczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonji. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i butów. — Dobrze mi tak — pomyślałem — czemu podług reguły nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas jakiś, roześmiał się i klapiąc po ramieniu, zawołał:

— A kamrat! Vilna Osmana — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! — pomyślałem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecie zaproteguje. — Uścisnąłem go z afektem, i on mnie. Potem prawił im widać historję naszej wędrówki i popasu w Miednikach. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec,

---

[1]) Złodzieje jesteście!

jakby przypomniał rzecz ważną, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął:

— Kamrat tobak!

Zmieszałem się. Poznał Francuzisko mój kłopot, szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem Herod postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki i kilka rubelków wysypało się... Zdębieli łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto! Ale wynalazca przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym, gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takim podziale, który spokojnie i przystojnie się odbył, zebrał skrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał.

— *Bon! bon! se bon kamrat!*

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacja skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tętent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymał się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francusku. Coś mu odpowiedzieli. A on do swoich:

— To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniono. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalję, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz, księże bernardynie? Czy rabujesz razem z nimi?

— Dobrodzieju! Jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru bienickiego. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg

pobłogosławił, i kilkanaśnie baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mnie ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosy, bo mi i buty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrżałem, a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy, którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo... Widzą rabusie, że kuso koło nich.

— Pardon! pardon! — zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? — zapytał on, oddając, mi garść złota.

— Zapewne wszystkie — odpowiedziałem, nie licząc, bo Bóg tam z nimi nareszcie.

— Nie wszystkie — rzekł on — bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czerwieńca z podobizną Bonapartego.

— *Deus te benedicat!* [1]), młodzieńcze! — zawołałem. — Modlić się będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w marszrucie — odpowiedział — nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy. — Chłopcy! Kilku z koni! Poskładać porznięte barany na furgony! Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca i na wieczerzę, i na drogę. Ale ja mam moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje. Powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

---

[1]) Niech cię Bóg błogosławi!

— I owszem — rzekł oficer. — A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć we środek! A jeżeliby który się upierał, płazem, choć nie szkodziłoby i rębem. Tylko, że ja mojej Elżutki nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy. — I schował szablę do pochew.

Elżutka! Coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica! Elżutka! Spojrzałem na tę szablę — osada staroświecka... zdaje mi się znajoma. Spojrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział.

Tymczasem Francuzi, mrucząc, wkładali swoje cielęcinki, a ułani przepędzali ich grzecznie płazami.

— Dlaczego się we mnie tak wpatrujesz, księże kwestarzu? — zapytał oficer.

— Daruj — rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznajomego mi dotąd wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytam: czyli to twoją szablę nazywasz Elżutką? I, jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak — to moja żonka Elżutka, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci, strzeże pilnie mego zdrowia i życia i nieraz mi to już oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój. Bratu memu starszemu dał za przyjaciela i sekundanta Harasima, mnie za towarzyszkę Elżutkę.

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łzą zabiegłem, a niepewnem jeszcze okiem — to więc ty jesteś Władyś Swieboda, syn Stanisława!!

— Skąd mię znasz, księże? Co to znaczy?

I zsiadł z konia.

— Na ręku cię mojem nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modlę się codzień za jego duszę po śmierci! Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziewając ubogą zakonną sukienkę.

— A więc ty jesteś Michał Ławrynowicz! — zawołał on. — Tak, przypominam cię jak przez sen... Tyś towarzysz

młodości ojca naszego... o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... A oddając mi nawet tę szablę i wyprawiając w świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami, jeszcze cię wspominał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!...

Młodzieniec rzucił się w moje objęcia.

KONIEC

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Księgarni T. SZCZĘSNY
roka 26/28

Biblioteka Główna UMK

300001061482

70174

70174